

s.16-17

Rodzice kontra dzieci. – Wszystko, co robisz, robisz nie tak jak trzeba – taki przekaz często zostaje w córkach na całe życie

Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682

9 771898 308059 22

magazyn POLSKA Puls

METROPOLIA WARSZAWSKA



FOT. ANNA KACZMARZ / POLSKA PRESS

Piątek-niedziela, 29–31.05.2026
Nr 43 (2554) • Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT)
Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl

s.20-22

Eva Minge szczerze o brudnym i brutalnym świecie modelingu

s.24-25

Grają w nogę, choć z nogami mają problem. Drużyna ampfutbolu

s.6-11

Na ile odwołanie prezydenta Krakowa Aleksandra Miszalskiego zmieni układ sił w ogólnopolskiej polityce

Krajobraz po referendum

REKLAMA 0011529146



eprasa.pl eb1c8fbccf

Polska
Piątek–niedziela, 29–31.05.2026

AUTOPROMOCJA 0210987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa **12 312 53 88**
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W poniedziałek **magazyn**

Jeśli tylko ojczyzna będzie tego wymagać, by wyjechać na kolejną misję, to jestem gotowy - mówi kapitan Krzysztof Sienkiewicz



Janusz Michalczyk
publicysta

TA KOLEJKA STOI ZA LUKSUSEM

Starszym Polakom obrazki pod galerią handlową, gdzie niedawno trzystu ludzi koczowało nocą w kolejce do sklepu, mogły przywołać wspomnienia o szarych latach 80., gdy komitety kolejkowe tworzono, by zakupić telewizor, pralkę, lodówkę albo jakiś mebel. Krystyna Prońko śpiewała: „za czym kolejka ta stoi" . Teraz niektórzy są skłonni do podobnych poświęceń, by zaznać luksusu, a inni zwietrzyli niesłychany zysk. Mowa o akcji promocyjnej szwajcarskiej sieci zegarków Swatch, obejmującej też parę salonów w Polsce.

Zastosowano wypróbowaną metodę na przyciągnięcie uwagi, zapowiadając w dniu premiery nietuzinkowego modelu niesłychane zniżki dla pierwszych klientów, przy czym ewentualne rozróby były mile widziane dla uzyskania rozgłosu. Dość powiedzieć, że za zegarek wart rzekomo kilkadziesiąt tysięcy wystarczyło zapłacić około 1600 zł. Gwałtowne emocje były gwarantowane, gdy okazało się, że zegarki są dostępne, lecz jedynie dla kilkunastu osób. Dla zaprowadzenia porządku w wielu miejscach wzywano na pomoc policję, a gdzieniegdzie, m.in. w Warszawie i Krakowie, sklepy tego dnia zostały zamknięte dla uniknięcia demolki.

Pomysł był diabelnie przewrotny, bo wkrótce wyszło na jaw, że tak naprawdę nowa seria nie jest limitowana i w najbliższej przyszłości, choć może z pewną zwłoką, chętni będą mogli zakupić ten właśnie model. Ogromna większość kolejkowiczów, która liczyła, że odsprzeda pozyskany w promocji czasomierz z wielokrotnym przebiciem, została nabita w butelkę.

Całą hecę potraktujmy z przymrużeniem oka, bo u jej podłoża leży pragnienie łatwego zarobku. Nie wykluczam, że niektórzy z niedoszłych nabywców mogli się kierować autentycznym pożądaniem luksusowego przedmiotu, pożądaniem podszytym snobizmem. Ci są dla mnie jeszcze bardziej zabawni, bo wszelkie dobra z najwyższej półki są przecież przeznaczone dla milionerów. To wyznaczniki statusu społecznego, które nie mają większego sensu u przeciętnego człowieka.

Jasne, to ambicja napędza cywilizację dobrobytu. Tylko święci są odporni na pokusy. Trudno oprzeć się okazji do zademonstrowania światu, jacy jesteśmy ważni. Pokora jest chyba najbardziej deficytową cnotą. Mnie jest o tyle łatwiej, że nie noszę żadnego zegarka.

CZEMU PŁACZEMY PRZY KROJENIU CEBULI?



Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH

Cebula jest warzywem bardzo cenionym - i słusznie, bo wpływa ona bardzo korzystnie na funkcjonowanie organizmu spożywającego ją człowieka. Zawiera liczne witaminy oraz minerały. Są przypuszczenia, że chroni ona przed nowotworami, bo jest bogata w przeciwutleniacze, które likwidują wolne rodniki w komórkach i zmniejszają prawdopodobieństwo wystąpienia raka.Ta ważna jej zaleta jest jeszcze ciągle przedmiotem badań naukowych, więc nie należy jej traktować jako pewnik. Natomiast jest całkiem pewne, że ma ona działanie przeciwzapalne, wspomaga układ krążenia, stabilizuje ciśnienie krwi i zmniejsza poziom cholesterolu, a także układ pokarmowy, gdyż wspomaga trawienie i reguluje pracę jelit.

Jeśli nie czuje się zapachu (na przykład podczas silnego kataru albo u ludzi z uszkodzona opuszką węchową), to cebula smakuje jak jabłko.

Po przeczytaniu tej listy zalet cebuli Czytelnik zapewne szuka w szafce z warzywami ładnej złocistej główki i już szykuje nóż do jej obrania oraz pokrojenia w celu spożycia, ale wstrzymuje go zapewne wspomnienie tego, jak się ostatnio popłakał przy takiej czynności.

Czemu przy krojeniu cebuli płaczemy? Otóż w komórkach miąższu cebuli są dwie substancje, które normalnie są od siebie odseparowane. Te substancje nazywają się allinazyna i allina.

Jednak gdy przetniemy nożem tkankę cebuli, obie wymienione substancje łączą się ze sobą chemicznie i powstaje substancja, której nazwy niepodobna już normalnie wymówić: kwas 1-sulfopropenylowy, który z kolei wydziela lotny S-tlen tiopropanal drażniący powierzchnię naszych oczu.
Od samych nazw tych substancji można się popłakać!

Rogówka oka jest bardzo wrażliwa, więc podrażniona przez ten tiopropanal zaczyna łzawić, żeby zmyć czynnik, który wywołał reakcję (pieczenie, ból). Ale z tym tiopropanalem ten naturalny odruch obronny nie działa, bo zmieszany z naszymi łzami wytwarza kwas siarkowy - jeszcze bardziej drażniący oczy. No i płaczemy!

Cebula wykształciła w trakcie ewolucji ten mechanizm drażniący oczy każdego, kto naruszy jej tkanki, bo w ten sposób broni się przed zjedzeniem przez roślinożerne zwierzęta. Jak się jakiś roślinożerca do niej dobierze, to zaraz się mocno popłacze i potem unika. Ale roślinożerca, jakim jest człowiek, radzi sobie z tym mechanizmem obronnym, bo zna zalety smakowe i zdrowotne cebuli. W Palestynie wykryto dowody archeologiczne, że cebulę jedzono tam od przynajmniej 7 tysięcy lat. W Biblii jest wzmianka (w Księdze Liczb), że Izraelici uciekający z Egiptu, chociaż karmieni manną z nieba, tęsknili za cebulą!
W Egipcie jedzono jej dużo. Są dowody na to, że robotnicy budujący piramidy (między innymi tę najsłynniejszą, Cheopsa) dostawali w charakterze wynagrodzenia za pracę właśnie cebulę.

Warto zapamiętać, że cebulowego płaczu jest mniej, jeśli użyjemy bardzo ostrego noża. Tępy nóż rozgniata większą ilość komórek cebuli i powoduje, że tej drażniącej oczy substancji wydostaje się więcej. Również ochłodzenie cebuli przed krojeniem w lodówce albo w zimnej wodzie ogranicza efekt łzawienia.

Co więcej, archeolodzy wykryli, że starożytni Egipcjanie używali jej na pewnym etapie mumifikacji zwłok faraonów. Niekiedy kawałki cebuli wkładano do oczodołów mumifikowanych, bo to ułatwiało utrwalanie głowy i wnętrza czaszki, z której usuwano mózg!

KONIEC SZANTAŻYSTÓW



Tadeusz Płatek
publicysta

Byłem wielokrotnie szantażowany w szkole podstawowej. Zwykle żądano ode mnie czegoś pod groźbą, że się pójdzie do pani. Pani to oczywiście nauczycielka z własnymi życiowymi problemami, kobieta, która niespecjalnie miała ochotę spełniać groźby dzieci względem innych dzieci. Zwykle kończyło się więc na pytaniu do szantażysty: „czy ładnie to tak skarżyć?" - pytaniu retorycznym, bo belfer, gdy tylko napotka skarżypytę, ucieka w popłochu. W każdej klasie zawsze jest jakiś odsetek błahych donosicieli - takich, co donoszą o pierdołach, byle tylko wnerwić wszystkich wokół. Jest też podobny procent dzieci mądrych, odważnych i odpowiedzialnych, które zgłaszają nauczycielom problemy istotne, z których coś złego może się urodzić.

Irytujących skarżypytów jest góra trzech na klasę. Wraz z przejściem do liceum imperatyw denuncjacji nauczycielom zamienia się u nich w złośliwe obgadywanie i knucie wśród kolegów. Donosiciele to zwykle dzieci rodziców lękowych, którzy zamiast własne dzieci uważnie obserwować, odpytują je ze wszystkiego ze szczegółami, obsesyjnie wyciągają informacje, odzierają z intymności. Jednocześnie często nie zauważają prawdziwych kłopotów, które rodzą się na tle tej „szczerości": poczucia zagubienia, niezdrowej rywalizacji, obawy przed wykluczeniem. Zdarzało mi się spotykać rodziców, którzy nie szanują prywatności dzieci, za ich plecami chcą im coś na lewo załatwić, realizując własne, niespełnione ambicje. Kontrolują i uczą kontrolować, uniemożliwiając im stworzenie z rówieśnikami głębokiej, nowej więzi, opierającej się na zaufaniu i samodzielności. Dzieci lękowych, nadopiekuńczych rodziców często stają się zagrożeniem nie tylko dla siebie, ale też dla innych. A to zagrożenie jest dziś większe niż kiedykolwiek.

Kiedyś szantaż był mówiony. Jeśli czegoś nie zrobisz, to powiem! Potem doszły komórki i kompromitujące nagrania - głosówki, filmy, groźby upublicznienia.

Mój ojciec dał mi taką radę: „Szantażystów najpierw się leje na kwaśne jabłko, a dopiero potem z nimi rozmawia. Wtedy może uda się wyrównać szanse" . Nigdy nie musiałem z tej rady korzystać. Na szczęście! I chyba już nie będę musiał, bo pojawiła się „sztuczna inteligencja".

Ma ona jedną cudowną cechę, niezawodną wymówkę wobec kompromatów. Jeśli ktoś was będzie szantażował, to macie teraz ripostę doskonałą: To nie ja. To AI!

eprasa.pl eb1c8fbccf

Z CZEGO JUTRO ...? DEPRYWACJA INWESTYCJI W POSIADANIE DZIECI KRYZYSEM USŁUG PUBLICZNYCH

Andrzej Sadowski
Centrum. im. Adama Smitha



W przestrzeni publicznej, a zwłaszcza w Internecie trudno nie natknąć się na wywody nieustannie rosnącej liczby osób, które próbują nas zainteresować inwestycjami w metale szlachetne, kryptowaluty czy coraz bardziej egzotyczne nieruchomości, tłumacząc nam kategorie stopy zwrotu, ryzyka i horyzontu czasowego. Rzadko jednak te pojęcia odnoszone są do decyzji, która jest najbardziej fundamentalna z punktu widzenia zarówno jednostki, jak i całego społeczeństwa, czyli do inwestycji w wychowanie dziecka, która to jest długoterminowa, wymagająca ogromnego nakładu kapitału czasu i pieniędzy oraz energii i uwagi, przy nieustającej niepewności co do finalnego efektu. Żaden fundusz private equity nie oferuje tak nieprzewidywalnej, a zarazem tak głęboko satysfakcjonującej stopy zwrotu, jakim jest wychowanie dziecka i duma z niego, co czyni tę inwestycję ponad wyjątkową.

Przez dziesięciolecia rządy w Polsce przekonywały obywateli, że z pomocą tzw. bezpłatnej edukacji i służby zdrowia, rosnącej redystrybucji tzw. publicznych pieniędzy w kolejnych programach społecznych i z nieustannie podnoszoną urzędową stawką wynagrodzenia najlepiej zadbają o warunki dla wychowania przyszłych pokoleń. Jeżeli doszukiwać się korelacji z urzędowo ordynowanymi społeczeństwu dobrodziejstwami, to efekt jest odwrotny od zamierzonego. W Polsce jest jeden z najniższych wskaźników dzietności w Europie.

W tegorocznym raporcie Centrum im. Adama Smitha pt. „Inwestycje w wychowanie dzieci. Audyt i transparentność publicznych i prywatnych nakładów na wychowanie i edukację dzieci w Polsce" znajduje się kolejna edycja badań z panelem Ariadna, z których wynika, że 32 proc. obywateli nie chce mieć dzieci. Jeszcze w roku 2024 taką deklarację złożyło 25 proc., a już w roku 2025 aż 33 proc. Powodem rezygnacji z posiadania dzieci nie jest wcale obawa przed bezrobociem, którą wskazało 2% badanych, zmiany klimatyczne z 3% wynikiem tak jak w roku 2025, czy przekonanie 4% (9% w 2025), że rząd nie zapewnia wystarczającego wsparcia, ani też spadające do 5% zagrożenia wojną i destabilizacją (14% w 2025). Wśród osób niezainteresowanych posiadaniem potomstwa głównym powodami jest brak właściwego wieku wskazanego przez 42% badanych. Brak potrzeby posiadania dzieci był dopiero na drugim miejscu z wynikiem 26%. Zaskakujący jest spadek z 20% w roku 2025 do 16% twierdzących, że nie stać ich na dzieci. Nieznacznie rośnie zaś odsetek tych, którzy wysunęli na pierwszy plan brak odpowiedniego partnera z 12% w roku 2025 do 13% obecnie.

Z tego wynika, że rządy popełniają podstawowy błąd w ocenie problemu i myśleniu o rozwiązaniach polegający na myleniu wydatku z inwestycją. Program 800 plus jest przez rządy traktowany jak wydatek a nie inwestycja, którą należy doglądać i dostosowywać do zmieniających się warunków. Żłobki budowane przez samorząd to też tylko wydatek. Inwestycją jest natomiast świadomy wybór rodzica, który decyduje się poświęcić swój czas, energię i pieniądze, zamiast delegować wychowanie na instytucje publiczne i zdać się na nie. Rozstrzygająca jest decyzja matki rezygnującej z kariery na kilka lat, bowiem słusznie zakłada, a nawet kalkuluje, że jej obecność w życiu dziecka jest dobrem, którego nie zastąpi żaden bon wychowawczy i żłobek w pobliżu.

Ekonomia klasyczna, od Adama Smitha poczynając, rozumiała i wskazywała, że bogactwo narodów rodzi się przede wszystkim z pracy ludzi, czyli dziś z tzw. kapitału ludzkiego. Wykształcony, samodzielny, odpowiedzialny człowiek jest wart dla społeczeństwa wielokrotnie więcej niż suma transferów, gdyby rządzący pomyśleli, że są inwestycją w niego, a nie wydatkami obciążającymi budżet. Dlatego zamiast pytać, ile kosztuje wychowanie dziecka, należy zadać właściwe pytanie, ile jest warte dobre jego wychowanie? Należy zacząć od audytu wydatków na publiczną edukację, która jest bezpłatna tylko w Konstytucji Polski. Aż 33% badanych uważa, że poziom edukacji w szkołach publicznych jest niski, a 17%, że tragiczny. Nic dziwnego, że aż 50% opowiedziało się za wprowadzeniem bonu edukacyjnego, a tylko 18% było przeciwnych. Zmiana sposobu dystrybucji publicznych pieniędzy na edukację poprzez oddanie decyzji bezpośrednio rodzicom za sprawą bonu edukacyjnego jest dziś jedynym sposobem na przywrócenie właściwego poziomu nauczania. Skoro można było oddać rodzicom decyzję o wyborze miejsca spędzania urlopu, wprowadzając bon wakacyjny, to tym samym można pozwolić im wybrać właściwą szkołę dla swojego dziecka.

Dobrze wychowane dziecko, to znaczy takie, które rozumie wartość pracy, szanuje własność, potrafi odraczać gratyfikację i bierze odpowiedzialność za swoje decyzje, jest najlepszym „zwrotem z inwestycji" dla rodzica, a z którego korzysta też cała społeczna wspólnota wcześniej ją współfinansująca. Żaden program rządowy tego nie zastąpi, bo żaden urzędnik nie jest w stanie zastąpić troski i autorytetu rodzica, którego zaangażowanie nie ma urzędowych godzin pracy.

Paradoksem jest to, że im więcej rządy wydają na tzw. politykę prorodzinną, tym mniej rodziny czują się odpowiedzialne za wychowanie własnych dzieci i tym chęć ich posiadania jak wynika z badań maleje. Czy zatem „kultura" funkcjonowania z socjalu nie niszczy w przeważającym stopniu etosu rodzicielstwa? Inwestycja w dziecko jest jedyną inwestycją, której nie można zhedgować ani przełożyć na później, bo stopa zwrotu, choć trudno dziś mierzalna, jest największa z możliwych, czego nie zapewnią inwestycje w „najlepsze" papiery dłużne rządów.

Andrzej Sadowski założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 r.

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN

0011524804

Jedyna taka instalacja w Polsce. ORLEN uruchomił inwestycję wartą 800 mln zł

ORLEN uruchomił w Płocku pierwszą w Polsce instalację HVO. Inwestycja warta ponad 800 mln zł będzie produkować około 300 tys. ton biopaliw rocznie. Nowy zakład nie tylko zwiększy bezpieczeństwo paliwowe kraju i uniezależni nas od importu biokomponentów, ale też da silny impuls do rozwoju krajowego łańcucha dostaw.



Prezes ORLENU, Ireneusz Fąfara, podkreślił podczas spotkania z dziennikarzami, że projekt ma wymiar nie tylko biznesowy, ale też strategiczny i technologiczny.

– *HVO to instalacja, która pokazuje inną twarz ORLENU. Spotykamy się w tradycyjnym miejscu, ale przy zupełnie nowej, innowacyjnej technologii. To ona będzie zmieniała transport przyszłości i zwiększy naszą niezależność od zewnętrznych dostaw biokomponentów* – zaznaczył.

Nowa inwestycja wpisuje się w strategię transformacji energetycznej koncernu. ORLEN planuje zbudować wokół niej szeroki ekosystem współpracy, łączący rolnictwo, logistykę i transport. Jak dodał Fąfara, projekt ma kluczowe znaczenie dla rozwoju biopaliw oraz budowy krajowego łańcucha wartości.

ORLEN stawia na krajowe surowce i współpracę z rolnikami

Kluczowym elementem projektu jest maksymalne wykorzystanie polskich surowców – głównie oleju rzepakowego oraz zużytych olejów posmażalniczych (UCO). Ważnym ogniwem tego systemu mają stać się rodzimi rolnicy.

– *Chcemy zachęcić rolników do udziału w programie „Międzyplony dla biopaliw", aby zwiększać krajową produkcję surowców do wytwarzania paliw odnawialnych* – zapowiedział prezes ORLENU.

Koncern już teraz przeznacza rocznie około 5 mld zł na zakupy od polskich rolników, a nowa instalacja ma te nakłady jeszcze zwiększyć. Dzięki temu ORLEN zyska większą kontrolę nad rynkiem biopaliw i poprawi efektywność kosztową. Jak podsumował Ireneusz Fąfara: – *Ta instalacja realnie zwiększa bezpieczeństwo paliwowe Polski. Rozwijamy własną produkcję zaawansowanych biokomponentów i uniezależniamy się od zmienności zewnętrznych rynków.*

300 tys. ton biopaliw rocznie

Jak wyjaśnia Grzegorz Jóźwiak, dyrektor wykonawczy ds. biopaliw i wodoru w ORLENIE, produkowany w Płocku komponent jakościowo odpowiada tradycyjnemu olejowi napędowemu. Może być wykorzystywany zarówno jako domieszka do diesla, jak i samodzielne paliwo HVO100. Wydajność nowej infrastruktury sięga około 300 tys. ton rocznie.

– *Produkt będzie trafiał przede wszystkim do odbiorców w kraju, ponieważ pozwala realizować cele regulacyjne związane z Narodowym Celem Wskaźnikowym oraz przyszłymi wymaganiami dyrektywy RED III* – wskazuje Jóźwiak.

Kluczowym atutem inwestycji jest elastyczność surowcowa. – *Nowa technologia pozwala na wykorzystanie zarówno olejów roślinnych, jak i odpadowych tłuszczów posmażalniczych czy surowców pochodzących z upraw międzyplonowych* – tłumaczy przedstawiciel ORLENU.

Dzięki procesowi uwodornienia, powstające paliwo można bez żadnych ograniczeń tankować do silników wysokoprężnych. – *To jedyna taka instalacja w Polsce. W przypadku HVO wysoka jakość pozwala na wykorzystanie go jako w pełni samodzielnego, pełnowartościowego paliwa* – zaznacza.

W procesie technologicznym kluczową rolę odgrywa wodór, który napędza proces hydrorafinacji. To właśnie dzięki niemu surowce biologiczne zmieniają się w produkt o wyjątkowo niskim śladzie węglowym.

Uruchomienie tego bloku zwiększy łączny potencjał produkcyjny ORLENU do około 700 tys. ton biopaliw rocznie. Koncern zakłada, że do 2030 roku moce te wzrosną aż do 1,1 mln ton.

„Nowa Chemia" kolejnym dużym projektem ORLENU

Równolegle w Płocku realizowany jest projekt „Nowa Chemia", który ma stać się nowym filarem petrochemicznym koncernu. Kompleks docelowo zastąpi część dotychczasowych obiektów i przejmie produkcję kluczowych surowców dla przemysłu chemicznego.

Jak wyjaśnia Damian Olewnik, odpowiedzialny za realizację i uruchomienie inwestycji, przedsięwzięcie obejmuje szereg nowoczesnych jednostek technologicznych. Wśród nich znajdą się m.in. instalacja krakera parowego, układy uwodornienia benzyny popirolitycznej oraz linie produkcyjne glikoli i styrenu.

– *Budujemy nowoczesny zakład petrochemiczny, który będzie bardziej efektywny energetycznie i mniej emisyjny niż obecnie eksploatowane systemy* – podkreśla Olewnik.

Projekt jest już zaawansowany w ponad 80 procentach. Obecnie trwają prace związane z integracją nowego kompleksu z istniejącą infrastrukturą produkcyjną ORLENU.

Zgodnie z założeniami „Nowa Chemia" ma ruszyć w 2030 roku. Docelowo zakład będzie dostarczał na rynek m.in. etylen i propylen, czyli podstawowe komponenty dla przemysłu chemicznego i sektora tworzyw sztucznych.

eprasa.pl eb1c8fbccf

Pierwsze umowy w ramach programu SAFE podpisane

Wojna o unijny program SAFE trwała wiele miesięcy. Rząd postawił na swoim i mimo weta prezydenta Nawrockiego z programu skorzystał. Wczoraj, w jego ramach, podpisano pierwsze umowy. Premier Donald Tusk stwierdził, że to „dzień przełomowy" zarówno dla Polski, jak i całej Unii Europejskiej

Dorota Kowalska

W podwarszawskim Legionowie podpisano wczoraj pierwsze umowy finansowane z programu SAFE. Chodzi o dostawy na potrzeby Wojsk Obrony Cyberprzestrzeni m.in. systemu kryptograficznego i mobilnego laboratorium cyberbezpieczeństwa.

W sumie z pieniędzy SAFE skorzysta ponad 10 tys. firm działających w Polsce - zarówno wykonawców, jak i podwykonawców oraz kooperantów. Wśród nich Radmor i APS w Gdyni, Rosomak w Siemianowicach Śląskich, Dezamet w Nowej Dębie, Hutę Stalowa Wola, WB Electronics, Belmę w Bydgoszczy, Maskpol w Koniecznych, Jelcza w Laskowicach, Stocznię Remontową w Gdańsku oraz Zakłady Mechaniczne Tarnów.

Premier Donald Tusk przypominał również o wcześniejszych umowach związanych z programem Tarcza Wschód, choćby o projekcie „Potwór z Tarnowa", który określił jako jedno z kluczowych przedsięwzięć i powodów do dumy polskiego przemysłu obronnego.

- Możemy mówić naprawdę o dziejowej chwili. To pierwsze, prawdziwe podpisy pod prawdziwymi umowami, ale jednocześnie moment, kiedy to wszystko rusza - mówił premier.

Jak przekazał Donald Tusk, do 30 maja w ramach około 40 kompleksowych umów ma zostać zagospodarowane około 100 mld zł. Tymczasem jeszcze kilka miesięcy trwały organizacyjne przygotowania do programu, który, jak podkreślił premier, „narodził się w Warszawie". Dzisiaj Polska jest najbardziej zaawansowanym państwem pod względem przygotowania projektów i dokumentacji związanej z tym programem. I nie chodzi wyłącznie o procedury czy dokumenty, ale o konkretne przedsięwzięcia kluczowe dla bezpieczeństwa państwa, rozwoju technologicznego i gospodarki.

- Teraz nie muszę już chyba nikogo przekonywać. Chociaż przez długi czas musiałem przekonywać sceptyków, opozycję, komentatorów, malkontentów i różnych maruderów, że te 180 mld zł na polską obronność to jest coś absolutnie bez precedensu. Możemy mówić o dziejowej chwili - podkreślił premier, dodając, że „to jest właśnie ten start". - Czasami ludzie pytają mnie, czy my nie wydajemy za dużo pieniędzy na obronność. Niektórzy uważają, że założenie wciąż jest abstrakcyjne - dlaczego w czasie pokoju mamy wydawać tak duże pieniądze. Wydajemy te pieniądze, żeby uniknąć wojny. Im więcej i mądrzej wydamy i im lepiej je wykorzystamy w czasie pokoju, tym mniej prawdopodobny jest ten czarny scenariusz - zapewnił.

8 maja polską umowę SAFE podpisali wicepremier, szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz i minister finansów Andrzej Domański. Ze strony Komisji Europejskiej obecni byli komisarz ds. budżetu Piotr Serafin i komisarz ds. obronności Andrius Kubilius. Potem dokument został przekazany na ręce premiera Donalda Tuska.

- To jest moment przełomowy w historii i Polski i Unii Europejskiej - stwierdził wówczas premier.

I wskazał, że dzięki programowi SAFE Polska „będzie bezpieczniejsza w tych trudnych, jakże ryzykownych czasach, w tym szczególnym miejscu na Ziemi".

Wcześniej, bo 13 marca, na nadzwyczajnym posiedzeniu zebrała się Rada Ministrów. Już wtedy premier Donald Tusk zapowiedział przyjęcie przez rząd uchwały, na podstawie której zostanie zrealizowany program Polska Zbrojna.

- Weto prezydenta nas nie zatrzyma - oświadczył.

Rząd na posiedzeniu, w którym uczestniczył też szef Kancelarii Prezydenta Zbigniew Bogucki, uchwałę ws. SAFE przyjął.

Dokument upoważnił ministrów: obrony narodowej oraz finansów i gospodarki do podpisania umowy dotyczącej unijnego programu SAFE. Pożyczka z SAFE została zaciągnięta i świadczenia czekają seniorów w najbliższych latach.

AKCJA SPECJALNA „FORUM SENIORA" 0111528411

Za nami Forum Seniora w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Wykłady, pasjonujące spotkania i ogrom uśmiechów

Ponad 200 osób wzięło udział w Forum Seniora w Teatrze 6. Piętro w Warszawie. Uczestnicy wysłuchali ekspertów z zakresu zdrowia, prawa, bezpieczeństwa cyfrowego i aktywności społecznej. Dużym zainteresowaniem cieszył się wykład o „drugim życiu książek", który stał się inspiracją do rozmów o literaturze i aktywności intelektualnej seniorów.

Seniorzy aktywnie, świadomie i razem
19 maja odbyło się w Teatrze 6. Piętro Forum Seniora, czyli wyjątkowe wydarzenie skierowane do osób starszych, ich rodzin oraz wszystkich zainteresowanych zdrowym i aktywnym stylem życia. W spotkaniu uczestniczyło ponad 200 osób, które przez cały dzień mogły korzystać z bogatego programu wykładów, konsultacji i rozmów z ekspertami z różnych dziedzin. Forum stało się przestrzenią wymiany doświadczeń, zdobywania nowej wiedzy oraz integracji środowiska senioralnego. Organizatorzy zadbali o różnorodność tematów:

- zdrowie,
- żywienie,
- bezpieczeństwo cyfrowe,
- kwestie prawne,
- aktywność społeczna osób starszych.

Uczestnicy chętnie angażowali się w rozmowy z prelegentami, dzielili swoimi doświadczeniami i zadawali



pytania dotyczące codziennych wyzwań seniorów.

Ogromne zainteresowanie tematem książek i aktywności intelektualnej
Jednym z najbardziej interesujących punktów programu okazała się prelekcja **„Drugie życie książek"**, którą poprowadził **Bartłomiej Patkowski z Antykwariatu i Księgarni Tezeusz**. Temat wzbudził bardzo duże zainteresowanie uczestników forum. Seniorzy z ogromnym zaangażowaniem słuchali o wartości książek, **idei dawania im drugiego życia** oraz roli czytania w utrzymaniu aktywności intelektualnej i dobrej kondycji psychicznej. Wielu uczestników podkreślało, że książki od lat są ważną częścią ich codzienności, a możliwość rozmowy o literaturze i wymiany doświadczeń była jednym z najciekawszych elementów wydarzenia. Po wykładzie nie brakowało pytań, rozmów oraz dyskusji o ulubionych autorach i znaczeniu czytania w życiu seniorów. Duże zainteresowanie pokazało, że literatura **nadal odgrywa ważną rolę w budowaniu relacji**, rozwijaniu pasji i aktywizacji osób starszych.

Zdrowie, bezpieczeństwo i wspólna energia
Dużym zainteresowaniem cieszyły się również prelekcje poświęcone zdrowiu i profilaktyce. Uczestnicy mogli dowiedzieć się m.in.:

- jaki wpływ na organizm ma odpowiednia dieta,
- jak chronić się przed oszustwami internetowymi,
- jakie zmiany prawne

Forum Seniora było nie tylko miejscem zdobywania wiedzy, ale t**akże okazją do integracji i wspólnego spędzenia czasu**.
W programie znalazły się przerwy kawowe sprzyjające rozmowom i nawiązywaniu nowych znajomości, a wydarzenie zakończył występ artystyczny **Karoliny Szczepanik-Pawlikowskiej**.
Organizatorzy podkreślają, że tak wysoka frekwencja i aktywność uczestników pokazują, jak duże jest zapotrzebowanie na inicjatywy wspierające seniorów i tworzące przestrzeń do rozmowy o ich potrzebach, zainteresowaniach i pasjach.

ORGANIZATOR
PARTNER GŁÓWNY
PARTNER MERYTORYCZNY
PARTNERZY

eprasa.pl eb1c8fbccf



FOT. PAP

Jak przekazał Donald Tusk, do 30 maja w ramach około 40 kompleksowych umów ma zostać zagospodarowane około 100 mld zł

gnięta przez BGK na rzecz Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Premier podkreślił przed posiedzeniem rządu, że historia oceni decyzję prezydenta w sprawie ustawy o SAFE „i to bardzo szybko w sposób dramatycznie zły dla niego". Jak dodał, Polacy zastanawiają się, czy zawetowanie ustawy „to zdrada czy to jest działanie lobbystów, brak zdrowego rozsądku". Przekazał też, że od rana odbiera SMS-y i telefony od europejskich przywódców, którzy nie wiedzą, o co chodzi. Dodał, że „tylko w rosyjskich gazetach jest pełne zrozumienie dla prezydenckiego weta".

Bogucki po zakończeniu posiedzenia Rady Ministrów przekonywał, że uchwała, którą przyjął rząd stanowi obejście prawa, powtarza wszystkie błędy ustawy o SAFE i powinna być zbadana przez Trybunał Konstytucyjny.

W ramach programu SAFE Polska ma otrzymać nawet 43,7 mld euro w niskooprocentowanych pożyczkach. Środki te mają być przeznaczone m.in. na realizację programu Tarcza Wschód, rozwój systemów antydronowych, obrony przeciwlotniczej, artylerii oraz modernizację infrastruktury transportowej o znaczeniu wojskowym. Zgodnie z deklaracją rządu, 89 proc. funduszy ma trafić do polskiego przemysłu i gospodarki.

Przypomnijmy, walka o SAFE trwała wiele miesięcy. Jeszcze w lutym premier Donald Tusk spotkał się z prezydentem Karolem Nawrockim, aby rozmawiać o programie SAFE. Nie usłyszał chyba tego, co chciał usłyszeć.

W trakcie spotkania strona rządowa zapoznała się z treścią projektu ustawy proponowanej przez prezydenta, zwanej potem „polski SAFE 0 procent", zakładającym wykorzystanie na polską armie krajowych środków, w tym wypracowanego zysku Narodowego Banku Polskiego (np. z inwestycji w złoto).

Tyle tylko, że jak przekazał premier, dwa miesiące wcześniej Adam Glapiński, prezes NBP, poinformował rząd w oficjalnym piśmie, że NBP ma straty. Wynoszą one 100 miliardów złotych. Prezes NBP stwierdził też, że w kolejnych latach ta sytuacja się nie zmieni.

Projekt ustawy o Polskim Funduszu Inwestycji Obronnych (PFIO) trafił do Sejmu 10 lutego, a więc w dniu spotkania prezydenta Nawrockiego z premierem Tuskiem, szefem MON Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, ministrem finansów Andrzejem Domańskim i prezesem NBP Adamem Glapińskim.

Za przyjęciem ustawy wprowadzającej ten unijny program opowiedziało się 236 posłów, przeciw było 199, wstrzymało się 4. Na 180 biorących udział w głosowaniu posłów PiS 179 było przeciw, 1 wstrzymał się od głosu. Wszyscy głosujący posłowie Konfederacji (14 osób) byli przeciw ustawie.

– To, co wiemy o programie SAFE, napawa nas sceptycyzmem, że jest to racjonalny sposób zadłużania się. Wspieramy wydatki na obronność, na bezpieczeństwo, natomiast to musi być robione z głową – tłumaczył potem lider Konfederacji Krzysztof Bosak. Jego zdaniem, program SAFE nie jest potrzebny, by kupić to, co już jest na rynku.

Trzy dni po głosowaniu prezes Kaczyński jasno przedstawił stanowisko PiS w sprawie SAFE i zaapelował do prezydenta Nawrockiego o zawetowanie ustawy wdrażającej ten unijny program. Według niego SAFE ma „potężne aspekty polityczne", a jego celem jest zjednoczenie Europy „pod niemieckim przywództwem".

Zdaniem Kaczyńskiego kwestia programu SAFE ma dwa aspekty. Pierwszym, jak mówił, są „pieniądze, podobno na dobrych warunkach, chociaż ich nie znamy". Jako drugi z aspektów prezes PiS wymienił zasadę warunkowości i podkreślił, że to właśnie ta kwestia zdecydowała o sposobie głosowania klubu.

– W gruncie rzeczy sprowadza się do tego: jak rządzą ci, których my chcemy – czyli Berlin w istocie chce – to tak, a jak rządzą inni, to nie – stwierdził. Dodał, że taka konstrukcja programu jest dla PiS „absolutnie nie do przyjęcia".

Kaczyński podkreślił, że SAFE oznacza w praktyce odwrócenie się od takich partnerów jak Stany Zjednoczone i Korea Południowa, co jego zdaniem byłoby szkodliwe dla Polski, a Polska powinna bronić swojej niezależności, pomimo korzystniejszych finansowo ofert związanych z SAFE.

– Polska niepodległość nie ma po prostu ceny – dodał prezes Kaczyński. Jego zdaniem proponowane mechanizmy stawiają Polskę pod „niemieckim butem".

Prezesowi wtórował były szef MON Mariusz Błaszczak, co o tyle zadziwiające, że jeszcze we wrześniu ubiegłego roku określał SAFE jako szansę na polskiego przemysłu zbrojeniowego. Dziś politycy PiS przekonują, że „dopiero teraz" okazało się, „czym w rzeczywistości" jest ten program.

Prezydent Nawrocki znalazł się więc w pułapce. Z jednej strony PiS naciska na weto, podobnie jak bliska mu Konfederacja, z drugiej – rozumie chyba jak ważny to program dla polskiej armii, której jest zwierzchnikiem.

Koniec końców, ustawę zawetował.

Nie zaskarbił tym sobie szacunku wojskowych, bo ci byli zgodni, że SAFE jest potrzebny polskiej armii.

– To jest konieczny program, który odpowiada na wieloletnie zapóźnienia w uzbrojeniu Wojska Polskiego. Armia potrzebuje jednoczesnej realizacji wielu programów zbrojeniowych. Ponadto SAFE to inwestycja we własny przemysł, który rozwinie gospodarkę – mówił nam gen. Roman Polko, były dowódca GROM.

Co do zarzutów jego przeciwnicy, którzy mówią o ograniczeniu suwerenności i zadłużeniu w obcej walucie, gen. Polko odpowiadał tak: „Tylko zwrócę uwagę, że ogromne ilości potrzebnego sprzętu, jakie zamawialiśmy w Stanach Zjednoczonych czy Korei Południowej też były na kredyt i w obcej walucie, na ogół bez korzyści dla naszego przemysłu. Mało tego, jak podkreślają ekonomiści, na o wiele droższych warunkach. SAFE to szansa dla polskiego przemysłu zbrojeniowego, rozwój gospodarczy i technologiczny i ostatecznie nowe miejsca pracy. Dlatego tym bardziej dziwię się, że SAFE używany jest do walki politycznej".

Także Polacy, w zdecydowanej większości byli za programem SAFE. Weto prezydenta w sprawie SAFE oznaczało opóźnienie inwestycji dla wojska, ale także utratę miliardów złotych dla służb ochrony państwa: Straży Granicznej i policji. Każda z formacji miała zyskać po ponad trzy miliardy złotych. Policja między innymi na budowę systemu antydronowego, wdrożenie nowoczesnych systemów AI, czy wymianę sprzętu transportowego i ochronnego. Straż Graniczna planowała rozbudować system neutralizacji obiektów latających. Były szef BOR gen. Marian Janicki weto prezydenta skomentował krótko: „Tylko Rosjanie mogą się cieszyć z tej decyzji".

PAP

REKLAMA 0111461412



MATERIAŁ INFORMACYJNY AUDIORIVER 0011529155

20 lat festiwalu Audioriver, Łódź celebruje z gwiazdami muzyki elektronicznej

Audioriver obchodzi w tym roku swoje 20-lecie! To wielokrotnie nagradzany festiwal, uważany za jedno z najważniejszych wydarzeń w swojej kategorii w Europie Środkowo-Wschodniej. Z okazji jubileuszu łódzka impreza zaprosiła gwiazdy muzyki elektronicznej z najwyższej półki, dla każdego pokolenia wielbicieli.



W piątek 10 lipca wystąpi legenda kultury rave z lat 90., zespół The Prodigy, który wciąż słynie z energetycznych koncertów i zapowiada na ten rok nową muzykę. W sobotę 11 lipca scenę główną dzielić będą Disclosure, brytyjski duet odpowiedzialny za przeboje, które śpiewa m.in. Sam Smith, oraz berliński artysta Marlon Hoffstadt, który jest obecnie największą współczesną gwiazdą muzyki trance i jednym z najbardziej oczekiwanych artystów w Polsce przez pokolenie zetek.

Audioriver ma w tym roku propozycje dla fanów wszelkich odmian muzyki elektronicznej. Obok wielkich gwiazd, jak The Prodigy, Disclosure i Marlon Hoffstadt na głównej scenie pojawią się również Apashe w specjalnym projekcie z orkiestrą dętą, duet Parisi odpowiedzialny za produkcję artystów pokroju Fred Again czy Swedish House Mafia oraz Zhu, amerykański piosenkarz i DJ, autor wielkiego przeboju „Faded".

Do Łodzi przyjadą też legendy drum & bassu pokroju London Elektricity i Wilkinsona. Zagrają najważniejsi przedstawiciele nowoczesnego techno, jak Klangkuenstler czy I Hate Models. Nie zabraknie też klasycznych brzmień Berlina z klubów Berghain i Tresor. Zagrają Ben Klock, Len Faki i Chlär. Na miłośników lżejszych dźwięków czeka afro house grany przez Shimzę, melodic grany przez Dyzena i Mind Against czy house'owe wojaże Âme (live, w duecie z Trikkiem) i Damiana Lazarusa.

Audioriver 2026 odbędzie się w dniach 10-12 lipca na Łódzkich Błoniach. Karnety oraz bilety jednodniowe na festiwal znajdują się wciąż w sprzedaży. Więcej informacji na stronie audioriver.pl/bilety. Wydarzeniu towarzyszą też darmowe aktywności na OFF Piotrkowskiej.

eprasa.pl eb1c8fbccf

Polska
Piątek–niedziela, 29–31.05.2026

SONIK: SUKCES REFERENDUM W KRAKOWIE NIE OZNACZA ŁATWEGO RZĄDZENIA. WRĘCZ PRZECIWNIE

– W mainstreamowych komentarzach mówi się o zwycięstwie prawicy. To tylko część prawdy. Przeciwko polityce Aleksandra Miszalskiego głosowało dużo młodych wyborców Konfederacji, ale też lewicowców z Razem – mówi Bogusław Sonik, krakowski polityk, poseł i europoseł Platformy Obywatelskiej w latach 2004-2023

Agaton Koziński

Spodziewał się Pan porażki Aleksandra Miszalskiego w krakowskim referendum? To była kronika zapowiadanej śmierci od momentu jego ogłoszenia czy jednak zaskoczenie?
Organizacja referendum w Krakowie to była jednak sytuacja bez precedensu, przynajmniej jeśli chodzi o duże miasta. Dlatego jego wynik był zaskoczeniem.

Z drugiej strony już sama liczba zebranych podpisów i rozmach przygotowań wskazywały, że taki scenariusz jest możliwy.

Podpisy zbierano zimą – i zebrano ich dwa razy więcej, niż wynosił wymagany limit.
Później jednak wydawało się, że emocje opadły. Między momentem zbiórki podpisów a samym referendum minęło trochę czasu. Przyszła ładna pogoda, ludzie zaczęli zajmować się czymś innym i można było zakładać, że frekwencja okaże się za niska.

Ostatecznie było o niemal 3 pkt proc. wyższa niż wymagana.
Zadziałało tutaj kilka czynników jednocześnie. Trochę jak przy katastrofach lotniczych - jedna awaria nie wystarcza, musi dojść do splotu różnych okoliczności.

Co Pana zdaniem przesądziło?
Przede wszystkim poczucie kolesiostwa i upartyjnienia samorządu. Ludzie zobaczyli bardzo ostentacyjne zatrudnianie działaczy partyjnych i znajomych przez dotychczasowego prezydenta. Wyglądało to jak spłacanie politycznych długów po kampanii wyborczej. Problem polegał na tym, że robiono to bez większych zahamowań i bez refleksji, jak zostanie to odebrane przez mieszkańców. W Krakowie takie rzeczy bardzo szybko budzą sprzeciw, bo to miasto ma silne poczucie swojej odrębności i pewnej inteligenckiej tradycji.

Ale przecież polityczne nominacje w samorządach nie są niczym nowym, nie tylko w Krakowie.
Oczywiście, że nie są. Tyle że tutaj skala i sposób działania zrobiły ogromne wrażenie. Pojawiło się przekonanie, że urząd miasta staje się przedłużeniem partyjnego aparatu. Do tego doszła sprawa ze Strefą Czystego Transportu.

REKLAMA 0011461147

CYBERSEC EXPO & FORUM 2026. Katowice miejscem debaty o bezpieczeństwie cyfrowym Europy

Cyberbezpieczeństwo stało się jednym z najważniejszych wyzwań współczesnych państw, gospodarek i społeczeństw. Rosnąca liczba cyberataków, rozwój sztucznej inteligencji, zagrożenia dla infrastruktury krytycznej czy skala dezinformacji sprawiają, że odporność cyfrowa przestaje być wyłącznie domeną ekspertów IT. Dziś dotyczy funkcjonowania administracji publicznej, przemysłu, energetyki, ochrony zdrowia i sektora finansowego, a także bezpieczeństwa obywateli i stabilności gospodarki.

O tych wyzwaniach będą rozmawiać uczestnicy **CYBERSEC EXPO & FORUM 2026**, największego wydarzenia poświęconego cyberbezpieczeństwu w Europie Środkowo-Wschodniej, które odbędzie się **15-16 czerwca 2026 r. w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach**. Tegoroczna edycja odbywa się pod hasłem **„We are the firewall”**, podkreślającym wspólną odpowiedzialność za bezpieczeństwo systemów, danych, procesów i usług – fundamentów funkcjonowania współczesnego państwa i gospodarki.

Katowice gospodarzem debaty o cyberbezpieczeństwie
Wybór Katowic jako gospodarza wydarzenia nie jest przypadkowy. Województwo śląskie od lat rozwija kompetencje związane z nowoczesnymi technologiami, transformacją przemysłu i cyfryzacją gospodarki. Region coraz mocniej zaznacza swoją obecność również w obszarze cyberbezpieczeństwa, łącząc potencjał biznesowy, akademicki i technologiczny.
Na Śląsku działają firmy technologiczne i przemysłowe inwestujące w cyfrową odporność, rozwijają się centra usług IT i nowoczesnych technologii, a uczelnie techniczne kształcą specjalistów odpowiedzialnych za bezpieczeństwo cyfrowe systemów i infrastruktury. Nieprzypadkowo właśnie tutaj odbędzie się dyskusja o bezpieczeństwie cyfrowym państwa, gospodarki i obywateli.

Agenda: od geopolityki po bezpieczeństwo sektorów krytycznych
Program CYBERSEC EXPO & FORUM 2026 ma wielowymiarowy charakter i obejmuje perspektywę strategiczną, regulacyjną, operacyjną oraz technologiczną. W centrum debat znajdą się m.in. zagadnienia związane



z geopolityką cyberbezpieczeństwa i suwerennością technologiczną Europy. Eksperci będą rozmawiać o tym, czy Europa jest dziś w stanie budować własną podmiotowość cyfrową w świecie zdominowanym przez globalne potęgi technologiczne. Istotnym elementem programu będą również dyskusje dotyczące wdrażania regulacji NIS2, ustawy KSC i Cyber Resilience Act oraz budowania odporności państwa i samorządów. Agenda obejmuje także kwestie ochrony infrastruktury krytycznej, bezpieczeństwa administracji publicznej i współpracy międzysektorowej.

Dużo miejsca poświęcono sektorom szczególnie narażonym na cyberzagrożenia. W programie znalazły się sesje dotyczące cyberbezpieczeństwa ochrony zdrowia, przemysłu, energetyki i finansów. Eksperci będą rozmawiać m.in. o ochronie danych medycznych i systemów szpitalnych, bezpieczeństwie środowisk przemysłowych i OT, odporności sektora energetycznego oraz wyzwaniach stojących przed bankowością i e-commerce.
Nie zabraknie również tematów związanych z dezinformacją, odpornością społeczną, bezpieczeństwem chmury, centrów danych i inteligentnych miast. Ważną częścią programu będą praktyczne aspekty wzmacniania cyberodporności – tworzenie SOC i CSIRT, zarządzanie ryzykiem, planowanie ciągłości działania i reagowanie na cyfrowe sytuacje kryzysowe.

Administracja, biznes i eksperci przy jednym stole
W wydarzeniu udział wezmą przedstawiciele administracji publicznej, sektora bezpieczeństwa, biznesu, przemysłu i środowiska naukowego. Swój udział potwierdzili już m.in. **Maciej Jan Broniarz**, Cyber Incident Response Expert; **Adam Cieślak**, komendant Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości w latach 2022-2026; **Andrzej Dulka**, prezes Polskiej Izby Informatyki i Telekomunikacji; **Marcin Dudek**, kierownik CERT Polska; **Michał Gramatyka**, sekretarz stanu w Ministerstwie Cyfryzacji; **Agnieszka Gryszczyńska**, dyrektor Departamentu do Spraw Cyberprzestępczości i Informatyzacji w Prokuraturze Krajowej; **Jarosław Homa**, pełnomocnik rektora ds. cyberbezpieczeństwa i wicedyrektor Centrum Cyberbezpieczeństwa Politechniki Śląskiej; **Karol Paciorek**, kierownik CSIRT Komisji Nadzoru Finansowego; **Dariusz Standerski**, sekretarz stanu w Ministerstwie Cyfryzacji; **Jarosław Wacko**, główny specjalista Dowództwa Komponentu Wojsk Obrony Cyberprzestrzeni oraz **Mirosław Wróblewski**, prezes Urzędu Ochrony Danych Osobowych.
Integralną częścią wydarzenia będzie pierwsza edycja **CYBERSEC Awards**, wyróżniająca osoby i instytucje wzmacniające odporność cyfrową Polski i Europy.

Organizatorem wydarzenia jest Grupa PTWP. Rejestracja uczestników trwa na stronie: **www.cybersecforum.eu**

eprasa.pl eb1c8fbccf

Zaczęła obowiązywać na początku tego roku i objęła de facto całe miasto.
I od początku wywoływała bardzo negatywne emocje, nawet jeśli mniej dotykała samych mieszkańców miasta. Ludzie mieli poczucie, że jest zbyt rozległa, że ogranicza swobodę funkcjonowania miasta i że dzieli mieszkańców na bogatszych i biedniejszych. To zostało bardzo źle odebrane.

Wiele kontrowersji wzbudzał też styl sprawowania urzędu przez Aleksandra Miszalskiego.
Krakowianie są przyzwyczajeni, że urząd prezydenta miasta wiąże się z pewnym dostojeństwem i powagą. Tymczasem niektóre zachowania Miszalskiego, które miały go zbliżać do młodszych wyborców, zostały odebrane jako kompromitujące albo po prostu niepoważne. To wszystko zaczęło się na siebie nakładać. Ludzie oczekiwali zmiany po 22 latach rządów Majchrowskiego, ale bardzo szybko pojawiło się rozczarowanie.

Majchrowski nigdy nie był jednoznacznie utożsamiany z konkretną partią. Aleksander Miszalski wszedł do magistratu jako polityk Koalicji Obywatelskiej. Na ile jego partyjność była problemem?
Sama przynależność partyjna nie byłaby jeszcze problemem. Bardziej bulwersował fakt, że to upartyjnienie zaczęło być widoczne w praktyce działania miasta, zwłaszcza poprzez politykę kadrową. Powstało wrażenie, że prezydent nie jest samodzielny, że staje się trochę marionetką aparatu partyjnego i nie potrafi postawić mu granic. To bardzo źle działało na jego wizerunek. Tym bardziej że Majchrowski przez lata prowadził zupełnie inną politykę. On potrafił kupować sobie spokój polityczny, dobierając ludzi z różnych środowisk i różnych ugrupowań. Rozbrajał konflikty, nie dawał się jednoznacznie przypisać do jednej strony.


FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Sonik: Lokalne referenda przede wszystkim dają opozycji możliwość organizowania się i mobilizowania elektoratu

Na ile to referendum było przede wszystkim buntem przeciwko Koalicji Obywatelskiej?
Nie przesadzałbym z takim odczytaniem. Oczywiście polityka krajowa była obecna w tle, ale to był przede wszystkim konflikt lokalny. Trzeba pamiętać, że Łukasz Gibała od lat próbuje zostać prezydentem Krakowa i od lat buduje wokół siebie środowisko polityczne. To on był motorem całego referendum, także finansowym, o czym sam zresztą mówił publicznie. Dlatego powiedziałbym, że w osiemdziesięciu procentach było to referendum lokalne.

Według Pana Łukasz Gibała już może przymierzać łańcuch prezydencki?
Na razie może przymierzać co najwyżej łańcuszek prowadzący do drugiej tury – bo musiałoby dojść do politycznego trzęsienia ziemi, żeby się w niej nie znalazł.
Na pewno Gibała ma duże środki finansowe, a to w dzisiejszej polityce jest bardzo ważne. Ale referendum pokazało również, że wyborcy nie lubią sytuacji, w której próbuje się im wmówić, że wszystko zostało już rozstrzygnięte.
Jeśli ktoś będzie sprawiał wrażenie, że uważa zwycięstwo za pewnik, może na tym polec. Kluczowe okaże się dopiero to, kto zostanie jego kontrkandydatem i czy temu kandydatowi uda się wzbudzić negatywne emocje wobec Gibały na tyle silne, aby zjednoczyć przeciwko niemu różne środowiska. Dzisiaj wydaje się to trudne, bo mimo swoich różnych politycznych dróg i kontrowersji Łukasz Gibała nie budzi szczególnie silnych negatywnych emocji. Korzysta też z narracji apolityczności i obywatelskości. Podobnie jak kiedyś Jacek Majchrowski.

Jego rywalem w drugiej turze będzie zapewne ktoś związany z obecną koalicją rządzącą. Na ile referendum w Krakowie będzie lokalne, a na ile stanie się odbiciem ogólnopolskiej polaryzacji?
Zdecydowanie trzeba brać pod uwagę kontekst ogólnopolski, tym bardziej że mówimy o czasie na rok przed wyborami parlamentarnymi. To będzie polityczny papier lakmusowy i próba sił między obozem rządzącym a opozycją. W mediach referendum będzie przedstawiane właśnie w takich kategoriach: opozycja kontra władza.

Media ogólnopolskie już samo referendum zaczęły interpretować w kontekście wojny Platforma–PiS.
To jest naturalne z perspektywy Warszawy. Tyle że w Krakowie ludzie patrzyli przede wszystkim na codzienne funkcjonowanie miasta. Oczywiście referendum pozwoliło środowiskom opozycyjnym wobec obecnych władz rozszerzyć swoje wpływy i zgromadzić bardzo różne grupy niezadowolonych mieszkańców – od części prawicy po ruchy miejskie i ludzi z lewicy rozcza-

dokończenie na str. 8

MATERIAŁ INFORMACYJNY WARTY

0011527068

Nowy wymiar bezpiecznego biznesu

Przyzwyczailiśmy się, że przedsiębiorcy, pytani, co najbardziej utrudnia im działalność, na pierwszym miejscu stawiali: niestabilne otoczenie prawne, zmieniające się przepisy. Dziś niestabilny staje się cały świat. Stałe jest tylko jedno - wszelkie zmiany reguł biznesowej gry najpierw uderzają w mały i średni biznes. Na szczęście niezmienna pozostaje też zasada, że rynek nie znosi próżni, więc ubezpieczyciele przygotowują nowoczesne oferty, obliczone na potrzeby tych firm, które rozumieją wagę współczesnych zagrożeń.

To zrozumienie dotyczy przede wszystkim zmiany podejścia do kwestii: ubezpieczenie biznesu. To nie może być „dodatek" do prowadzonej działalności, tylko jeden z kluczowych elementów zarządzania ryzykiem i zachowania ciągłości działania firmy. I to nie tylko „wielkiej firmy", ale też niemal każdego biznesu zaliczanego do sektora małych i średnich przedsiębiorstw. Bo takie firmy są na pierwszej linii codziennych zmagań z rosnącymi kosztami, konkurencyjną presją, problemami z dostępnością pracowników czy cyberatakami. To dla nich odporność operacyjna i ciągłość działania są kluczowe, a pełne bezpieczeństwo zapewnić im może tylko ochrona dopasowana do ich specyfiki. Dlatego dziś podstawą oferty wiodących ubezpieczycieli są elastyczne rozwiązania i szeroki zakres ochrony, dopasowany do skali, branży i modelu działania danej firmy.

Firmy na kruchym lodzie

A jest o co się troszczyć. Z badania „Skaner MSP" BIG InfoMonitora wiemy, że blisko jedna czwarta przedsiębiorców deklarowała w 2026 r., że ich firmy były realnie zagrożone likwidacją, a upadłości bądź zawieszenia działalności obawia się 26 proc. biznesów. Z kolei z badań Instytutu Keralla Research, prowadzonych w kwietniu tego roku na zamówienie Warty wynika, że 68% firm w razie przestoju działalności utrzymałaby się na rynku mniej niż pół roku. Aż 57 proc. firm deklaruje zdolność do regulowania bieżących zobowiązań przez okres od dwóch do pięciu miesięcy.

Widmo przestoju

Te dane pokazują stosunkowo niską odporność firm na nagłe, niekorzystne zmiany, uderzające w ich bieżącą



działalność. Dlatego w swoim pakiecie ubezpieczeń SME (Small and Medium Enterprises) Warta stawia przed wszystkim na elastyczny dobór rozwiązań, które można dopasować do specyfiki każdej firmy – od tych, które potrzebują kompleksowej ochrony, po przedsiębiorców chcących zabezpieczyć tylko jedno, wybrane ryzyko. Hala produkcyjna może oczywiście spłonąć, ale równie groźny w skutkach dla jej właściciela może być nieplanowany w niej przestój, wynikający ze zdarzeń, na które firma nie ma żadnego wpływu.

Tymczasem pod niewinnie brzmiącym hasłem „przestój" kryje się jedna z bardziej dewastujących mały i średni biznes sytuacji, gdy po stronie przychodów wykres dąży do zera, a po stronie kosztów nic nie ulega zmianie: nadal płacimy pensje pracownikom i pokrywamy wszystkie opłaty stałe. Z tego powodu w ofercie Warty klasyczne ubezpieczenie mienia – budynków, maszyn czy sprzętu elektronicznego, od zdarzeń losowych – od kradzieży przez dewastację aż po pożar czy katastrofę budowlaną, zawiera też opcję ubezpieczenia od przestoju. Obejmuje ono ochroną koszty stałe i zwiększone koszty działalności, takie jak: raty kredytów i leasingów, wynagrodzenie pracowników, stałe opłaty związane z działalnością (energia, woda, gaz), jak i utracony zysk (ryczałt – niezależnie od formy prowadzonej księgowości). Oczywiście Warta oferuje także dodatkowe świadczenia, wspierające ciągłość działalności również po zdarzeniach zaliczanych do kategorii następstw nieszczęśliwych wypadków (NNW), jak np. świadczenie ryczałtowe dla właściciela na poczet zatrudnienia pracownika na zastępstwo.

Od wszelkich ryzyk

O nowoczesnej filozofii ubezpieczeń, oferowanych przez Wartę, świadczy także stale poszerzający się zakres oferty. Na przykład w podstawowym zakresie firmy mogą objąć ochroną w formule all risk (od wszelkich ryzyk) także budynki tymczasowe, automaty wrzutowe czy siłownie wiatrowe, a obiekty namiotowe czy konstrukcje drewniane mogą być ubezpieczane od skutków takich zdarzeń jak grad, wiatr, śnieg. Czy już jest bezpiecznie? Jeszcze nie, bo każdy przedsiębiorca musi jak najkorzystniej zabezpieczyć całą przestrzeń odpowiedzialności cywilnej. I tu znów pojawią się dwa określenia-klucze do nowoczesnej ochrony biznesu: im szerszy zakres świadczeń oferowanych przez ubezpieczyciela, tym większa szansa na uzyskanie oferty maksymalnie dopasowanej do potrzeb danej firmy i jej działalności. A w ofercie zawsze istotna jest jej cena. Dlatego warto pamiętać o zasadzie, że świadczenie objęte pakietem podstawowym z reguły będzie finansowo bardziej przyjazne od dedykowanej naszym potrzebom ochrony z zakresu świadczeń „dodatkowych".

W tym kontekście warto spojrzeć na ofertę Warty, która zapewnia, że w kategorii odpowiedzialności cywilnej oferuje najszerszy na rynku zakres ubezpieczenia, nie wyłączając specjalistycznych prac niezbędnych w prowadzeniu różnych rodzajów działalności.

Wygraną jest bezpieczeństwo

Skoro zatem dziś nowoczesne ubezpieczenie biznesu musi bazować na możliwie szerokiej ofercie, którą można elastycznie dostosować do specyfiki każdej firmy, to nie można nie wspomnieć o jeszcze jednym kluczowym elemencie: roli w tym procesie agenta lub brokera ubezpieczeniowego. To od jego profesjonalizmu zależy dobre rozpoznanie możliwych do ubezpieczenia zagrożeń dla stabilności naszej firmy i efektywne dostosowanie do nich rozwiązań. Co jest możliwe tylko w formule win-win, gdzie obie strony wygrywają.

eprasa.pl eb1c8fbccf

dokończenie ze str. 7

rowanych stylem rządzenia. Ale główne przyczyny były lokalne. Narracja o tym, że oto skrajna prawica przejmuje Kraków i dlatego trzeba bojkotować referendum, okazała się kompletnie nietrafiona.

Tak właśnie przedstawiają to media w Warszawie.
Za to mieszkańcy odebrali to jako próbę odebrania im prawa do decydowania. Najpierw przez lata prowadzi się kosztowne kampanie profrekwencyjne i przekonuje ludzi, że każdy głos jest ważny, a potem, kiedy pojawia się referendum niewygodne dla władzy, zaczyna się namawianie do pozostania w domu. To wzbudziło bardzo negatywne reakcje. Doszło też poczucie pogardy elit wobec zwykłych mieszkańców. Wielu ludzi uznało, że traktuje się ich jak motłoch, który ma nie przeszkadzać w utrzymaniu „oświeconego" układu krakowskiego.

Koalicja Obywatelska ma jeszcze szansę odbudować swoją pozycję w Krakowie?
To zależy od kandydata, jakiego wystawi. Dziś nie ma żadnych oczywistych wielkich nazwisk.

Mówi się o Andrzeju Domańskim, obecnym ministrze finansów.
On nie jest w Krakowie żadnym politycznym gigantem. Ta kampania będzie bardzo personalna i bardzo wizerunkowa. Trzeba też pamiętać, że nie odwołano Rady Miasta. Każdy nowy prezydent będzie musiał umieć z nią współpracować. Rady mają dziś może mniejsze kompetencje niż kiedyś, ale nadal potrafią skutecznie blokować decyzje władz wykonawczych.

Czyli potrzebny będzie bardziej sprawny negocjator niż polityczny celebryta?
Dokładnie tak. Potrzebny będzie ktoś, kto potrafi poruszać się między różnymi środowiskami i interesami. Dlatego nie wykluczone, że pojawi się kandydat spoza pierwszego szeregu polityki. Ale niezależnie od nazwiska przyszły prezydent będzie miał bardzo trudne zadanie. Kraków jest mocno zadłużony. Potrzebne będą oszczędności, przebudowa budżetu, przegląd funkcjonowania spółek miejskich i instytucji, na które dziś wydaje się ogromne pieniądze. To będą decyzje trudne politycznie.

Pole minowe dla każdego następcy Miszalskiego.
– Tak. Sukces referendum nie oznacza łatwego rządzenia. Wręcz przeciwnie – następca będzie się bał podejmować trudne decyzje, bo będzie wiedział, że mieszkańcy są gotowi bardzo szybko rozliczać władzę. Dlatego potrzebny będzie ktoś z autorytetem i odpornością polityczną.

Pojawiły się spekulacje dotyczące startu Andrzeja Dudy. Wyobraża pan sobie taki scenariusz?
Nie. Ktoś, kto był prezydentem państwa i ma możliwość funkcjonowania poza bieżącą polityką, raczej nie będzie chciał wracać do takiego poziomu sporu lokalnego. Poza tym jego kandydatura wywołałaby gigantyczną polaryzację. A samo nazwisko nie wystarcza. W Krakowie wielu polityków odbijało się od Jacka Majchrowskiego. Nawet profesor Jan Duda przegrał wybory do sejmiku, a Andrzej Duda także kiedyś przegrał walkę o prezydenturę miasta.

Co to referendum powiedziało panu o współczesnym Krakowie?
Pokazało, że mieszkańcy oczekują silnych osobowości, które potrafią podejmować decyzje, ale jednocześnie rozmawiają z ludźmi i utrzymują z nimi stały kontakt. Oczekują też bardziej europejskiego modelu zarządzania miastem, skupionego na jakości życia mieszkańców. Kraków przez lata bardzo mocno stawiał na promocję miasta za granicą i budowanie dumy z liczby turystów. Tymczasem mieszkańcy coraz częściej mówią: dobrze, ale teraz zajmijcie się naszym codziennym życiem, komunikacją, kosztami funkcjonowania miasta, naszymi problemami.

Myśli Pan, że to referendum zmieni Kraków?
Tak. Ono było sygnałem, że mieszkańcy nie chcą już wyłącznie polityki opartej na promowaniu miasta na świecie i oczekiwaniu, że wyborcy będą za to bić brawo. Chcą polityki bliższej obywatelom i ich codziennym sprawom. I właśnie to jest najważniejsze znaczenie tego referendum. Ludzie mają dość turystyfikacji, która zrobiła z historycznego centrum miasta Disneyland – miasto-wydmuszkę bez mieszkańców – a nawet momentami wulgarny lunapark.

Do referendum doszło niecałe trzy lata po wyborach parlamentarnych. Czy na jego podstawie dowiedzieliśmy się czegoś nowego o obozie władzy?
W mainstreamowych komentarzach mówi się o zwycięstwie prawicy. To tylko część prawdy. Przeciwko polityce Aleksandra Miszalskiego głosowało dużo młodych wyborców Konfederacji – ale też lewicowców z Razem. Referendum pokazało, że władze znajduje się raczej w defensywnym dryfie niż w ofensywie. Obóz rządzący stara się spokojnie dopłynąć do brzegu - kolejnych wyborów - unikając większych fal. Tymczasem krakowskie referendum może stać się właśnie taką falą. Jego wynik doda energii opozycji i wyborcom niezadowolonym z obecnej władzy. Rządzący często mają trudniej, bo łatwiej mobilizować elektorat przeciwko nim.

Obóz sprawujący władzę też ma swoje atuty z tej władzy wynikające.
Tyle, że te atuty są eksponowane od dawna, a mimo to nie okazują się szczególnie przekonujące. Dodatkowo mamy koalicję bardzo różnorodną ideowo. Widać w niej próby budowania narracji antyamerykańskiej, szczególnie ze strony części lewicy, ale wydaje mi się, że ten przekaz będzie się wypalał. Zagrożenia międzynarodowe nie znikną, a większość społeczeństwa nadal uważa Stany Zjednoczone za kluczowego sojusznika Polski. Już zresztą widać, że PSL ustami Władysława Kosiniaka-Kamysza dystansuje się od takich tendencji.

Opozycja również jest mocno podzielona. Czy w przedterminowych wyborach w Krakowie możliwe będzie jej zjednoczenie wokół jednego kandydata?
Logika drugiej tury takich wyborów naturalnie wymusza podział na dwa obozy. Część środowisk lewicowych, która dzisiaj stoi po stronie referendum, ostatecznie może poprzeć kandydata koalicji rządzącej. Choć z drugiej strony Łukasz Gibała przez lata współpracował z częścią tych środowisk, wspierał ich kandydatów, więc istnieją tam pewne polityczne i osobiste relacje. Możliwa byłaby więc koalicja złożona z PiS, ruchów obywatelskich oraz części Konfederacji wokół niego.

Jaką rolę może odegrać Grzegorz Braun, który podobno rozważa start w Krakowie?
Braun w wyborach prezydenckich osiągał wyniki na poziomie około 10–12 procent i zapewne będzie próbował odtworzyć podobne poparcie. Kilka procent w Krakowie prawdopodobnie zdobędzie. Jego celem będzie jednak przede wszystkim wzmocnienie własnego środowiska przed wyborami parlamentarnymi, a nie budowanie lokalnych sojuszy.

Coraz częściej mówi się o kolejnych referendach w innych miastach. Będą kłopotliwe dla koalicji rządzącej?
Takie referenda przede wszystkim dają opozycji możliwość organizowania się i mobilizowania elektoratu. Nawet jeśli nie doprowadzą do odwołania władz, to staną się okazją do budowania struktur i politycznej energii przed wyborami parlamentarnymi. W Krakowie udało się nadać referendum charakter obywatelski, ale w innych miastach partie opozycyjne zapewne będą chciały być bardziej widoczne.

Jak obóz władzy może zatrzymać tę falę?
Najprostszym rozwiązaniem byłoby wygranie takiego starcia, czyli skuteczne obronienie własnego kandydata. To zadziałałoby jak polityczna gaśnica. Pokazywałoby, że mimo problemów obóz rządzący nadal kontroluje sytuację i potrafi wygrywać nawet trudne dogrywki.

Jakie są na to szanse?
Rządzący cały czas dysponują narzędziami, które zapewnia im władza. Natomiast ewidentnie wyczerpał się emocjonalny impuls, który ich niósł w wyborach w 2023 r. Wtedy dominowała narracja walki dobra ze złem i konieczności odsunięcia poprzedniej władzy za wszelką cenę. To bardzo mobilizowało wyborców. Dziś ten przekaz nie działa już tak silnie.

Donald Tusk nadal używa takiej retoryki. Słychać to było choćby podczas niedawnej wizyty Pétera Magyara.
Ona nadal może mobilizować twardy elektorat Koalicji Obywatelskiej, ale niekoniecznie wystarczy do poszerzania poparcia. Opowieść o zagrożeniu ze strony przeciwnika politycznego będzie obecna, jednak sama nie rozstrzygnie wyborów.

Co koalicja musiałaby dołożyć do tej strategii?
Przede wszystkim socjotechnikę polegającą na wzmacnianiu podziałów po stronie prawicy. Można się spodziewać prób przedstawiania całej opozycji przez pryzmat najbardziej radykalnych środowisk, zwłaszcza Grzegorza Brauna i Konfederacji Korony Polskiej. Taka próba była już widoczna w Krakowie.

Czy strach przed polexitem odegra tę rolę?
Polacy nie chcą polexitu, ale jednocześnie mało kto wierzy, że rzeczywiście mogłoby do niego dojść. Większość społeczeństwa zakłada, że każdy rząd próbujący wyprowadzić Polskę z Unii Europejskiej spotkałby się z ogromnym oporem obywateli. Krytyka niektórych działań Brukseli czy Zielonego Ładu nie oznacza automatycznie poparcia dla wyjścia z Unii.

Czyli prawica ma dziś autostradę do zwycięstwa.
Nie. Przede wszystkim sama prawica jest obecnie bardzo podzielona. Mateusz Morawiecki próbował budować bardziej nowoczesny model prawicy, skoncentrowany na gospodarce i komunikacji z młodszymi wyborcami, ale ten kierunek nie zdominował największej partii opozycyjnej. Wewnętrzne konflikty nadal są bardzo silne.

Jak Pan rozumie źródło sporów tej stronie sceny politycznej? Konflikt międzypokoleniowy?
To jedna z odpowiedzi. Widać próby budowania nowego przywództwa i nowego języka politycznego, jednak nie ma jeszcze zgody co do kierunku zmian. Donald Tusk liczy zapewne na to, że prawica będzie nadal pogrążona w swoich wewnętrznych sporach.

Pod względem liczby i natężenia wewnętrznych konfliktów prawica nigdy nie zawodzi.
Tak naprawdę w 2027 r. zasadnicze znaczeni będzie miał fakt, czy PiS uzyska zdolność koalicyjną. To może się okazać nawet ważniejsze od samego wyniku wyborów. Konfederacja może stać się języczkiem u wagi. Nie wykluczam, że Koalicja Obywatelska będzie próbowała przyciągnąć ją na swoją stronę różnego rodzaju ustępstwami i nową polityczną narracją, aby utrzymać władzę. Tak naprawdę tu nastąpi ostateczne rozstrzygnięcie.

AUTOREKLAMA Q6049469180



eprasa.pl eb1c8fbccf

MATERSKA-SOSNOWSKA: PREZYDENT NAWROCKI PRÓBUJE STWORZYĆ „POLSKIE MAGA”

– Roboczo nazywam to „polskim MAGA”, ale traktuję to jako skrót analityczny, nie prostą kopię amerykańskiego zjawiska. Chodzi o styl polityki, personalizację przywództwa, relacje z otoczeniem Trumpa i próbę połączenia różnych nurtów prawicy. Jednocześnie sam potrzebuje Prawa i Sprawiedliwości chociażby do kolejnej kampanii wyborczej. Dla mnie wystawienie Przemysława Czarnka jako kandydata na potencjalnego premiera PiS to właśnie sygnał, że idzie po ten sam elektorat co Nawrocki. Stąd mogą być spięcia pomiędzy tymi obozami – mówi doktor Anna Materska-Sosnowska, politolożka z Uniwersytetu Warszawskiego

Dorota Kowalska

Mamy nowego I prezesa Sądu Najwyższego. Karol Nawrocki podjął decyzję wbrew oczekiwaniom Jarosława Kaczyńskiego, a nawet pana Cenckiewicza. To koniec bliskiej zależności?

Zacznijmy od zasady, że prezes partii opozycyjnej nie powinien recenzować kandydata na I prezesa SN. Formalnie decyzja należy do prezydenta, ale sama sugestia, kto „się podoba”, a kto „się nie podoba”, narusza standard kultury państwa prawnego, bo przyzwyczaja opinię publiczną do myślenia, że obsada najwyższych stanowisk w sądownictwie jest elementem partyjnych oczekiwań.

I o tym nie zapominajmy. Kiedy przeczytałam wpis Jarosława Kaczyńskiego, sugerujący, kto nie powinien być I prezesem SN, bo to była sugestia przez negację, pomyślałam, że to trochę stawianie prezydenta pod ścianą. W tym sensie decyzja Karola Nawrockiego mogła mieć dla niego także wymiar polityczny: pokazać, że nie jest wyłącznie wykonawcą oczekiwań Jarosława Kaczyńskiego. Nie przeceniałabym jednak tego gestu. To nie jest jeszcze dowód pełnej samodzielności prezydenta, raczej kontrolowany sygnał separacji od prezesa PiS.

dokończenie na str. 10-11

MATERIAL INFORMACYJNY T-MOBILE

0011523231

Prezent na ostatnią chwilę? To już nie problem.
T-Mobile upraszcza obdarowywanie z **Magenta Moments**

Są takie momenty, kiedy chcemy zrobić coś miłego – spontanicznie, bez okazji albo właśnie dlatego, że okazja jest ważna. Problem w tym, że często brakuje nam czasu na szukanie, porównywanie, wybieranie. Odkładamy decyzję na później albo wybieramy coś „na szybko", bez większego przekonania. A przecież chcemy sprawiać radość – tylko w sposób łatwy i naturalny. T-Mobile to rozumie.



Badania dowodzą, że 70% osób uważa, że dawanie prezentów wzmacnia relacje, a dla 42% najważniejsze jest po prostu wywołanie uśmiechu u bliskiej osoby. Czasem jest ku temu ważna okazja, jak urodziny czy rocznica, ale coraz częściej po prostu impuls: „pomyślałem o Tobie". Problem w tym, że codzienność rzadko daje przestrzeń na spokojne szukanie prezentów. Dlatego w ramach programu Magenta Moments T-Mobile upraszcza obdarowywanie, ale nie odbiera mu znaczenia, a nam – swobody wyboru.

Liczy się gest, nie logistyka

Najczęściej nie chodzi o perfekcyjnie dobrany przedmiot, ale o pamięć, uwagę i intencję... A jednak to właśnie „logistyka" prezentowa bywa największą przeszkodą. Szukanie, porównywanie, decyzje – wszystko to zajmuje czas, którego zwykle brakuje. Nowa funkcjonalność w Magenta Moments odwraca tę perspektywę. Zamiast komplikować, skraca drogę od pomysłu do realizacji.
W aplikacji „Mój T-Mobile" pojawił się moduł kart podarunkowych, który działa jak intuicyjne centrum prezentowe. Kilka kliknięć wystarczy, by wybrać prezent – dla siebie albo dla kogoś bliskiego. *Na nowo definiujemy świat prezentów, oddając w ręce naszych klientów rozwiązanie, które daje im więcej możliwości, większą wygodę i realną wartość. W jednym miejscu mogą wybierać spośród ponad 60 marek, dopasować prezent do odbiorcy i jednocześnie skorzystać z atrakcyjnych rabatów. Upraszczamy obdarowywanie i sprawiamy, że daje ono jeszcze więcej radości* – mówi Maximiliano Bellassai, członek zarządu ds. B2C T Mobile Polska.

Wybór, który daje swobodę

Jednym z najczęstszych dylematów przy kupowaniu prezentów jest pytanie: „czy to na pewno się spodoba?". Im lepiej znamy drugą osobę, tym łatwiej na nie odpowiedzieć, ale w praktyce zawsze zostaje margines niepewności. Dlatego rosnącą popularnością cieszą się rozwiązania, które oddają wybór odbiorcy. Karty podarunkowe to świetny przykład, a w nowym wydaniu zyskują dodatkowy wymiar.
W Magenta Moments dostępnych jest ponad 60 marek – od mody, przez elektronikę, po rozrywkę i usługi online. To sprawia, że prezent można dopasować do stylu życia, a nie tylko do okazji. Zamiast zgadywać, dajemy możliwość wyboru.

Więcej za mniej, czyli realna wartość

Istotnym elementem nowego rozwiązania są także korzyści finansowe. Użytkownicy programu mogą wykorzystać zgromadzone „Serca", by odblokować rabaty na wybrane karty podarunkowe ulubionych marek, jak adidas, Allegro, LEGO czy Zalando – nawet do 8%. To drobny, ale znaczący element. Prezent o wartości 100 zł Magentowy VIP może dzięki temu kupić taniej, zachowując jego pełną wartość dla obdarowanego.

Spontaniczność, która ma znaczenie

Największą zmianą jest jednak to, jak bardzo proces obdarowywania został uproszczony. Prezent można kupić i wysłać niemal natychmiast – nawet w ostatniej chwili. Co ważne, nie oznacza to rezygnacji z osobistego charakteru podarunku. Użytkownik może spersonalizować kartę: wybrać okazję, dopasować jej wygląd, dodać wiadomość, a nawet zdjęcie. Może też zaplanować moment dostarczenia – tak by idealnie wpasować się w konkretny dzień. Dzięki temu spontaniczny gest nie jest „awaryjny", tylko świadomy. To duża zmiana w myśleniu o prezentach – z obowiązku w stronę naturalnej potrzeby dzielenia się czymś dobrym.

Technologia bliżej codzienności

Nowa funkcjonalność kart podarunkowych to kolejny krok w rozwoju Magenta Moments jako programu, który wykracza poza standardowe benefity. Nie chodzi już tylko o zniżki czy okazje, ale o realne wsparcie w codziennych sytuacjach.
Technologia przestaje być narzędziem, które trzeba obsługiwać – zaczyna działać w tle, ułatwiając proste, ludzkie gesty. Skraca dystans między intencją a działaniem. I chyba właśnie to jest najważniejsze. W końcu w świecie, w którym wszystko dzieje się szybko, warto mieć narzędzia, które nadążają za naszym tempem życia. Takie, które nie wymagają dodatkowego wysiłku, a jednocześnie pozwalają zrobić coś dobrego.
Nowe podejście do prezentów w T-Mobile pokazuje, że technologia może być nie tylko funkcjonalna. Może pomóc w sprawieniu komuś szczęścia. Czasem wystarczy kilka kliknięć, żeby ktoś po drugiej stronie się uśmiechnął.

eprasa.pl eb1c8fbccf

Polska
Piątek–niedziela, 29–31.05.2026



FOT. POOL/ABACA/ABACA/EAST NEWS

Materska-Sosnowska: Trump inwestuje politycznie w Nawrockiego jako swojego partnera ideowego w Polsce. Ale dla Polski najważniejsze jest nie to, kto dostaje symboliczny kredyt, tylko czy obecność wojsk USA będzie trwała

dokończenie ze str. 9

A może Karol Nawrocki chce zepchnąć prezesa Kaczyńskiego na margines, chce przyjąć rządy dusz na prawicy?
Już o tym rozmawiałyśmy, wydaje się, że prezydent Nawrocki próbuje budować szerszy obóz na prawicy, tworzy „polskie MAGA". Roboczo nazywam to „polskim MAGA", ale traktuję to jako skrót analityczny, nie prostą kopię amerykańskiego zjawiska. Chodzi o styl polityki, personalizację przywództwa, relacje z otoczeniem Trumpa i próbę połączenia różnych nurtów prawicy. Jednocześnie sam prezydent potrzebuje Prawa i Sprawiedliwości chociażby do kolejnej kampanii wyborczej. To nie jest jeszcze polityk samodzielny, który stworzył swój obóz. On chce go budować, ale to jest proces. Wreszcie, dla mnie wystawienie Przemysława Czarnka na kandydata na potencjalnego premiera Prawa i Sprawiedliwości to właśnie sygnał, że idzie po ten sam elektorat co Nawrocki. Stąd mogą być spięcia pomiędzy tymi obozami.

Ale z drugiej strony Karola Nawrockiego otaczają ludzie Prawa i Sprawiedliwości!
I Konfederacji.

No dobrze, ale politycy PiS-u są obecni w kancelarii prezydenta.
Oczywiście, że tak. Dlatego że MAGA, jeśli ma działać, to musi łączyć ze sobą część PiS-u i Konfederatów. Istotne jest też, kogo w tym otoczeniu nie ma albo, kto jest słabiej reprezentowany. To nie wygląda na prostą kontynuację zaplecza Mateusza Morawieckiego. Raczej na próbę zbudowania innego, bardziej prawicowo-populistycznego układu odniesienia.

Myśli pani, że walka frakcji w PiS-ie będzie się nasilać?
Nie sądzę, żeby ucichła. Po utracie władzy przegrupowanie w partii jest naturalne, a w PiS te ruchy nastąpiły z pewnym opóźnieniem, bo po drodze były jeszcze wybory prezydenckie. Komunikaty o spokoju czy dopuszczanie różnych stowarzyszeń wewnątrz obozu nie kończą konfliktu, tylko go na razie formatują. Na dziś myślę, że to napięcie będzie rosło, a nie malało i im bliżej wyborów, tym będzie silniejsze. I tym mocniej będzie wracać pytanie: kto daje partii większą zdolność koalicyjną, a kto lepiej broni jej elektoratu przed Konfederacją i Grzegorzem Braunem.

Koniec końców Mateusz Morawiecki wyjdzie z PiS-u?
Myślę, że tak. Jarosław Kaczyński nigdy nie dopuszczał do tego, żeby powstało coś silnego na prawo od jego formacji. Dzisiaj ta prawa strona wyrosła mu w postaci Konfederacji, a zwłaszcza w osobnym środowisku Brauna. I rozumiem, że wystawienie właśnie Czarnka, który de facto zaprzecza ośmiu latom rządów PiS-u, zaprzecza polityce Morawieckiego, ma odzyskiwać elektorat z prawej strony, ten najbardziej radykalny. Morawiecki próbuje budować odrębność w taki sposób, by móc wystąpić raczej jako ktoś wypychany niż jako rozłamowiec. Z kolei Kaczyńskiemu bardziej opłaca się, by to środowisko samo wzięło odpowiedzialność za ewentualne wyjście. To klasyczna gra o winę za rozłam. Ale różne gesty czy ruchy Morawieckiego są wbrew ogólnemu interesowi partii, a na pewno wbrew niezachwianemu przywódcy, czyli prezesowi Kaczyńskiemu.

Tylko nie rozumiem tej gry pozorów. Jakie ma znaczenie, czy Morawiecki sam wyjdzie z PiS-u, czy zostanie z niego wyrzucony?
Ma duże znaczenie symboliczne i negocjacyjne. Kto wychodzi sam, ten łatwo słyszy: zdradził wspólną sprawę. Kto zostaje wyrzucony, może budować opowieść o krzywdzie i wierności pierwotnemu PiS. To widzieliśmy przy wcześniejszych rozłamach. Część projektów po odejściu musiała później wracać na warunkach narzuconych przez Kaczyńskiego. Dlatego obie strony będą unikać ruchu, który przerzuci na nie odpowiedzialność za podział.

Pani zdaniem, Zbigniew Ziobro to problem dla Prawa i Sprawiedliwości?
Myślę, że w długiej perspektywie tak, bo nawet jeżeli w tej chwili politycy PiS-u podnoszą, że to ośmieszenie rządu Donalda Tuska, to Ziobro jest dla nich problemem. Jego wyjazd do Stanów Zjednoczonych przykrył inne wewnętrzne problemy PiS-u, ale nie znosi problemu: były minister sprawiedliwości ma status podejrzanego w bardzo poważnej sprawie, a Prokuratura Krajowa mówi o 26 przestępstwach. Dla PiS wygodne jest bronienie go jako ofiary politycznej, ale koszt reputacyjny takiej obrony rośnie. Trudność polega też na tym, że Ziobro dużo wie o funkcjonowaniu poprzedniego obozu władzy, więc nikt po prawej stronie nie może traktować tej sprawy wyłącznie jako problemu prawnego.

Myśli pani, że ma wiedzę, która mogłaby zaszkodzić politykom prawicy? W końcu był ministrem sprawiedliwości!
Oczywiście, że tak. Jako były minister sprawiedliwości i prokurator generalny z pewnością ma wiedzę o mechanizmach władzy, personaliach i decyzjach podejmowanych w tamtym czasie. Nie przesądzałabym publicznie, jakie dokumenty posiada ani kto dokładnie czego mógł się obawiać, bo to wymagałoby twardych dowodów. Politycznie istotne jest co innego: ewentualny proces oznaczałby jawny, instytucjonalny zapis rozliczeń. Dla PiS to ryzyko podwójne: prawne i narracyjne. A społeczny odbiór też nie jest neutralny. Obrona osoby poszukiwanej przez prokuraturę jest coraz trudniejsza do przedstawienia jako zwykła solidarność partyjna. Czy Ziobro jest obciążeniem? Napisy na stadionach, moim zdaniem, są jednoznaczną odpowiedzią na to pytanie.

Ziobro nie jest lubiany nawet przez wyborców Prawa i Sprawiedliwości.
Dokładnie tak.

Rozumie pani tę decyzję administracji Donalda Trumpa o przyjęciu na swoim terytorium Ziobry, bo dyplomaci tego nie rozumieją?
Nie interpretowałabym tego automatycznie jako strategicznej decyzji całej administracji. Bardziej prawdopodobne wydaje mi się wyjaśnienie sieciowe: kontakty polityczne, środowiska konserwatywne, indywidualni pośrednicy. Ale tu trzeba być bardzo ostrożnym. Informacje o roli konkretnych osób, w tym Adama Bielana, wymagają potwierdzenia. Na dziś powiedziałabym tak: jeśli potwierdzą się doniesienia o politycznym załatwianiu wizy, będzie to poważny sygnał, że relacje ideologiczne zaczynają wpływać na sprawy prawne między sojusznikami.

Mam wrażenie, że jednak Donald Trump pewnymi wpisami, chociażby sugerującymi, że całą chwałę za przysłaniem do Polski 5 tysięcy żołnierzy może wziąć na siebie prezydent Nawrocki…
A Donald Trump przysłał już tych żołnierzy?

Jeszcze nie.
Właśnie. I to jest sedno. W polityce bezpieczeństwa trzeba odróżniać wpis w mediach społecznościowych od realnej decyzji wykonanej przez administrację i wojsko.

Ale nie ma pani wrażenia, że Trump miesza się w polską politykę?
Tak, miesza się - i robił to już wcześniej. Proszę zwrócić uwagę, że gdyby to zrobił jakikolwiek przywódca europejski, to przede wszystkim Prawo i Sprawiedliwość najpewniej mówiłoby o naruszaniu naszej suwerenności. Jeśli robi to Trump, to prawica przedstawia to jako dowód przyjaźni i znakomitych kontaktów. To jest podwójny standard. Po przegranej Orbána ta relacja staje się dla polskiej prawicy jeszcze ważniejsza, ale też bardziej ryzykowna. Sam wpis o żołnierzach wzmacnia wrażenie, że Trump inwestuje politycznie w Nawrockiego jako swojego partnera ideowego w Polsce. Ale dla Polski najważniejsze jest nie to, kto dostaje symboliczny kredyt, tylko czy obecność wojsk USA będzie trwała, przewidywalna i skoordynowana z NATO.

To wsparcie Donalda Trumpa jest chyba prezydentowi Nawrockiemu na rękę.
Prezydent Trump nie jest do końca przewidywalnym sojusznikiem w klasycznym rozumieniu. Potrafi jednego dnia wzmacniać deklaracje bezpieczeństwa, a wcześniej sygnalizować redukcję obecności USA w Europie. Wypowiedzi Pete'a Hegsetha i amerykańska strategia bezpieczeństwa pokazują wyraźny trend: Europa ma wziąć znacznie większą odpowiedzialność za własną obronę, a USA będą traktować zobowiązania bardziej transakcyjnie. Dlatego medialny gest wobec Nawrockiego nie zmienia strukturalnego ryzyka dla Polski. Należy też dodać, że Trump ma dziś niskie poparcie w szerokiej opinii publicznej w USA, choć pozostaje silny w swoim obozie. Jesienne wybory do Kongresu pokażą, ile z tej politycznej siły realnie zostaje.

Dobrze, przejdźmy trochę do koalicji rządzącej. Mamy odwołanie prezydenta Krakowa, Aleksandra Miszalskiego. To może być początek jakiejś fali? Opozycja mówi, że tak właśnie jest, że za chwilę będzie referendum w Rzeszowie i że Koalicja Obywatelska straci władzę w wielu samorządach.
Nie przeceniałabym tego, co się stało, ale na pewno nie można nie doceniać wyniku referendum w Krakowie. Jednocześnie referendum odwoławcze jest specyficznym mechanizmem: mobilizuje przede wszystkim przeciwników i tworzy asymetrię kampanii, bo obrońcy często kalkulują frekwencję. Przepisy przez PiS zostały zmienione tak, żeby przez obniżenie progu frekwencyjnego wzmocnić referendum negatywne. Bardzo łatwo jest opozycji odwołać prezydenta. Ale od odwołania prezydenta miasta do przejęcia miasta przez PiS czy Konfederację jest daleka droga. Opozycja ma teraz problem pozytywny: kogo wystawić i jak wygrać wybory, a nie tylko jak zorganizować sprzeciw.

Z drugiej strony mam wrażenie, że pan Miszalski liczył na to, że to referendum będzie po prostu nieważne, ale się przeliczył.
Wiem, że taka została przyjęta strategia, tak była prowadzona kampania. Uważam ją za ryzykowną reputacyjnie, bo demokracja źle znosi komunikat: zostańcie w domu, żeby wynik był nieważny. Rozumiem logikę prawną, ale politycznie lepiej wygląda mobilizacja własnych zwolenników i jasne powiedzenie: jeśli chcecie kontynuacji, idźcie i zagłosujcie. Przykład Sopotu i Jacka Karnowskiego pokazał, że obrona przez aktywną mobilizację może być skuteczna. A z drugiej strony, czy odwoła-

eprasa.pl eb1c8fbccf

nie prezydentki popieranej przez KO w Zabrzu zmieniło bieg historii? Zmieniło trendy? Zmieniło cokolwiek? Nie wydaje mi się. Wniosek jest prosty: nie robiłabym z Krakowa automatycznego trendu ogólnopolskiego, ale potraktowałabym go jako ostrzeżenie dla samorządowców koalicji.

Myśli pani, że koalicja rządząca ma kłopot z Polską 2050, bo Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz co rusz krytykuje rząd, w którego skład sama wchodzi?
Problem ma przede wszystkim Polska 2050. Walczą o przetrwanie, byt, pozycję negocjacyjną i rozpoznawalność, więc wykonują bardzo ostre, wyraziste ruchy i komentarze jak na ugrupowanie współrządzące. Rozumiem, że zaczynają szukać już koalicjantów na przyszłe listy wyborcze, żeby w ogóle zaistnieć i wejść do Sejmu. Ewidentnie mają problem. Pytanie, jak to się skończy? To oczywiście uderza także w rząd, bo wyborca nie rozdziela subtelnie: to jest minister z rządu, to jest liderka partii, to jest spór wewnętrzny. Trochę dziwię się premierowi, że tak długo toleruje ten poziom dysonansu. Z drugiej strony doszło do tego, co zapowiadał, pani Pełczyńska-Nałęcz nie jest wicepremierem, więc część napięcia ma wymiar czysto polityczny.

W co gra dzisiaj liderka Polski 2050?
Polska 2050 chce ważyć więcej, niż wynika z jej dzisiejszej siły parlamentarnej i sondażowej. W moim przekonaniu jest to projekt o zawężającym się polu manewru.

Chodzą pogłoski, że przy najbliższej rekonstrukcji rządu stanowisko może stracić minister sprawiedliwości Waldemar Żurek, że jednak premier Donald Tusk oczekiwał szybszych i większych zmian w wymiarze sprawiedliwości.
Nie wiem, nie jest to potwierdzone, więc nie przesądzałabym personaliów. A problem jest szerszy: resort sprawiedliwości od początku tej kadencji ma ogromny ciężar polityczny i prawny, a efekty są wolniejsze, niż oczekiwała część elektoratu rządzących. To dotyczyło Adama Bodnara i dotyczy Waldemara Żurka. Nie wiem, czy dało się wszystko zrobić szybciej, bo część zmian wymaga ustaw, a te napotykają prezydenta. Ale widzę deficyt komunikacji i scenariuszy: opinia publiczna nie wie, co jest niemożliwe prawnie, co trudne politycznie, a co po prostu nie zostało zrobione.

Właśnie się zastanawiam, jak można by wprowadzać zmiany w wymiarze sprawiedliwości? Bo, pan Bodnar źle, pan Żurek źle…
Dlatego nie wiem, czy można te zmiany wprowadzić szybciej, sprawniej.

Zmiany w wymiarze sprawiedliwości musi zaakceptować prezydent, a z tym mamy pewien problem.
Tak, ale okazuje się, że chyba błędem było założenie ministra Bodnara, że wystarczy ewolucyjne porządkowanie instytucji. A przyspieszenie nastąpi po zmianie na stanowisku prezydenta. Dzisiaj widać, że część zastanego układu personalnego i proceduralnego działa przeciwko zmianie albo ją spowalnia. No cóż, należało szybciej wykorzystać narzędzia przewidziane prawem, a przede wszystkim trzeba było mieć wariant na sytuację, w której prezydentem nie zostaje kandydat obozu rządzącego. Dobrzy stratedzy muszą mieć plan także na scenariusz niekorzystny.

Koalicjanci - myślę tu o lewicy, o ludowcach - mogą poprawić jeszcze swoje notowania, bo póki co, one są słabe.
Moim zdaniem tak. Nie wiemy jak, w jakich układach i w jakich koalicjach będą szli do wyborów, to po pierwsze. Po drugie, do wyborów jest jeszcze - tylko i aż - rok. To będzie bardzo trudny i bardzo intensywny czas. Więc gdyby te wybory odbywały się jesienią tego roku, to oczywiście szanse na poprawę notowań byłyby odpowiednio mniejsze niż w momencie, kiedy są za ponad rok.

Mówi się, że być może Nowa Lewica mogłaby połączyć siły z Partią Razem i pójść do wyborów wspólnie, co by na pewno poprawiło ich szanse na dobry wynik wyborczy.
Czyje szanse?

Lewicy.
Właśnie. Lewicy - tak, partii Razem - tak. Ale…Matematycznie mogłoby to poprawić szanse wejścia szerzej rozumianej lewicy do Sejmu. Politycznie nie mam pewności, czy byłoby stabilne. Mamy doświadczenie wspólnego startu i późniejszego rozchodzenia się strategii: część lewicy chciała współrządzić, część chciała pozostać poza rządem. Wspólna lista rozwiązuje problem progu, ale nie rozwiązuje problemu tożsamości, programu i stosunku do rządzenia.

Dlaczego?
Dlatego, że były już próby wspólnej listy, wspólnego wejścia do Sejmu i potem wspólnego trwania. To się nie powiodło. Słyszę o tym, że takie rozwiązanie byłoby dobre, ale nie mam co do tego przekonania. Być może znowu byłaby taka sytuacja, że część lewicy weszłaby do rządu, a część pozostała poza rządem. Nie wiem, czy to jest najrozsądniejsze rozwiązanie. A poza tym, akurat z agendy lewicowej naprawdę dużo udało się zrobić i mam takie poczucie, że to jeszcze nie zafunkcjonowało w opinii.

Bardziej prawdopodobne jest, że będziemy mieć rząd prawicowy w roku 2027? Czy koalicja rządząca zdoła się utrzymać u władzy?
Oczywiście, tego nie wiem. Wiem, że jest to realne. O wyniku zdecyduje nie tylko suma mandatów PiS i Konfederacji, ale też to, czy po prawej stronie da się zbudować rząd zdolny do funkcjonowania. Wiem, że to prezydent wskazuje kandydata na premiera i może - tak jak Andrzej Duda, wbrew pewnej logice i policzonych głosach - próbować na to wpływać, ale arytmetyka sejmowa ostatecznie jest twarda. Największym pytaniem byłaby koalicja z Konfederacją, a zwłaszcza stosunek do Grzegorza Brauna. To nie jest detal wizerunkowy, tylko problem sterowności i wiarygodności takiego rządu. Czy wyobraża sobie pani te rozmowy negocjacyjne, a potem koalicyjne?

Średnio.
No właśnie. Sam Kaczyński testował już koalicję z Lepperem i wie, jak bardzo trudna to była koalicja. A myślę, że z Grzegorzem Braunem jeszcze trudniejsza.

Z drugiej strony Jarosław Kaczyński zrobi wszystko, żeby wrócić do władzy.
Może tak, może nie.

Co będzie decydować, co będzie najważniejsze w ciągu tego trochę więcej niż roku?
Najważniejsze będą trzy rzeczy. Po pierwsze, bezpieczeństwo: Rosja, Ukraina i realna, nie tylko deklaratywna, obecność USA w Europie. Po drugie, sprawczość państwa. Po trzecie, konsolidacja po prawej stronie: czy PiS, Nawrocki, Konfederacja i środowisko Brauna będą ze sobą rywalizować, czy znajdą formułę współpracy. Dzisiaj jesteśmy po chwili dużego napięcia. Dlatego nie prognozowałabym dziś wyniku wyborów; wskazałabym raczej czynniki, które będą ten wynik przesuwać, a gdybanie, co będzie za pół roku, naprawdę mija się z celem.

MATERIAŁ INFORMACYJNY BGK

0011496393

Samorządy ruszają po miliardy z nowego funduszu

Polska rozpoczyna budowę największego od dekad systemu ochrony ludności i obrony cywilnej. W grze są schrony, miejsca ukrycia, drogi ewakuacyjne, zabezpieczenie infrastruktury wodociągowej oraz systemów energetycznych, a także inwestycje w cyberbezpieczeństwo. Wszystko ma zostać wsparte środkami z nowego Funduszu Bezpieczeństwa i Obronności finansowanego z KPO. Podczas debaty poświęconej finansowaniu bezpieczeństwa samorządów, która odbyła się podczas XIX Konferencji BGK dla JST, przedstawiciele rządu i administracji nie ukrywali, że skala wyzwań jest gigantyczna. Same koszty zapewnienia schronienia ludności w Polsce oszacowano już na ponad 218 miliardów złotych.



KPO na obronność

Jak podkreślał Mateusz Gaczyński, zastępca dyrektora Departamentu Koordynacji KPO w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej, Fundusz Bezpieczeństwa i Obronności powstał w odpowiedzi na konkretne potrzeby.

– Fundusz Bezpieczeństwa i Obronności powstał jako odpowiedź na zmieniającą się sytuację bezpieczeństwa w Europie i na świecie. Polska jest obecnie jedynym państwem Unii Europejskiej, które środki z KPO przeznacza bezpośrednio na bezpieczeństwo i obronność. Mówimy o ponad 22 miliardach złotych, które mają zostać przeznaczone na budowę odporności państwa i samorządów. Połowa tej kwoty trafi bezpośrednio do jednostek samorządu terytorialnego.

Fundusz ma zostać podzielony na cztery główne priorytety inwestycyjne. Największy z nich dotyczy infrastruktury ochrony ludności, czyli schronów, miejsc ukrycia oraz zabezpieczenia infrastruktury krytycznej. Drugim filarem mają być inwestycje w infrastrukturę podwójnego zastosowania, czyli drogi, mosty i tunele, które mogą służyć zarówno mieszkańcom, jak i wojsku lub działaniom ewakuacyjnym. Trzeci obszar obejmuje cyberbezpieczeństwo, natomiast czwarty wsparcie przedsiębiorstw działających na rzecz bezpieczeństwa i obronności.

– Ponad dziewięć miliardów złotych zostanie przeznaczonych na infrastrukturę ochrony ludności. To największy pojedynczy komponent funduszu. Mówimy tutaj zarówno o miejscach schronienia, jak i zabezpieczeniu infrastruktury energetycznej, wodociągowej czy systemów alarmowych. Jednocześnie bardzo duży nacisk kładziemy na cyberbezpieczeństwo infrastruktury samorządowej i krytycznej – dodał Gaczyński.

218 miliardów złotych na schrony

Przedstawiciele MSWiA nie ukrywali, że państwo stoi przed jednym z największych wyzwań infrastrukturalnych od wielu lat. Robert Klonowski, zastępca dyrektora Departamentu Ochrony Ludności i Zarządzania Kryzysowego, wskazywał, że Polska de facto odbudowuje system ochrony ludności od podstaw.

– Ustawa o ochronie ludności i obronie cywilnej nakłada bardzo konkretne obowiązki. W miastach połowa mieszkańców ma mieć zapewnione miejsca schronienia w obiektach zbiorowej ochrony, a jedna czwarta w pełnoprawnych budowlach ochronnych. Poza terenami miejskimi te wskaźniki są niższe, ale nadal bardzo ambitne. Policzyliśmy, ile spełnienie tych wymagań kosztowałoby państwo polskie przy dzisiejszych cenach. To około 218 miliardów złotych.

Jak zaznaczał przedstawiciel MSWiA, przez ponad trzy dekady w Polsce praktycznie nie budowano nowych schronów ani nie rozwijano systemu ochrony ludności. Dziś państwo musi nadrabiać wieloletnie zaniedbania.

– Ostatni schron w Polsce został zbudowany jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Przez trzydzieści lat ten obszar praktycznie leżał odłogiem. Otwieraliśmy obiekty, które przez lata były zamknięte i często znajdowały się w fatalnym stanie technicznym. Dlatego dziś próbujemy odbudować cały system praktycznie od podstaw i potrzebujemy do tego ogromnych środków finansowych.

Według przedstawiciela resortu spraw wewnętrznych, obecny program ochrony ludności ma jednak stworzyć fundament stabilnego systemu finansowania na kolejne lata.

– Wszystkie województwa, wszystkie powiaty i wszystkie gminy w Polsce otrzymały już środki z programu ochrony ludności i obrony cywilnej. Otrzymają je także w kolejnych latach. Najważniejsze było stworzenie trwałych ram prawnych i zapewnienie stabilnego finansowania. Teraz szukamy dodatkowych źródeł wsparcia, bo wiemy, że same środki krajowe nie wystarczą do realizacji wszystkich potrzeb – zaznaczył Klonowski.

Samorządy wymieniają sprzęt z lat 70.

O skali zaniedbań mówił również wojewoda mazowiecki Mariusz Frankowski. Jak podkreślał, w wielu samorządach magazyny ochrony ludności były wyposażone w sprzęt pamiętający jeszcze czasy PRL.

– W zeszłym roku koncentrowaliśmy się przede wszystkim na odbudowie podstawowych zdolności ochrony ludności. W wielu miejscach magazyny były praktycznie puste albo wyposażone w sprzęt z lat siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych. Widziałem maski przeciwgazowe sprzed kilkudziesięciu lat, stare aluminiowe menażki i wyposażenie, które dawno utraciło jakąkolwiek przydatność. W wielu przypadkach trzeba było zaczynać praktycznie od zera.

Wojewoda wskazywał, że już pierwsze inwestycje zaczynają poprawiać odporność lokalnych społeczności na sytuacje kryzysowe.

– Dziś samorządy kupują agregaty, mobilne stacje uzdatniania wody, wyposażenie magazynów i systemy ostrzegania. Widzimy realną zmianę w przygotowaniu do sytuacji kryzysowych. Przykładem były ubiegłoroczne wichury pod Płockiem, gdzie trzeba było szybko zabezpieczyć mieszkańców i ich dobytek. Nawet podstawowe rzeczy, takie jak plandeki zabezpieczające dachy budynków, wcześniej były problemem. Teraz te zasoby są już dostępne na poziomie lokalnym.

Frankowski podkreślał również, że ogromnym wyzwaniem będzie odpowiednie planowanie inwestycji oraz określenie lokalnych priorytetów.

– Nie da się wszystkiego zrobić jednocześnie. Samorządy muszą same zdecydować, co jest dla nich najważniejsze – czy drogi ewakuacyjne, infrastruktura wodociągowa, cyberbezpieczeństwo czy miejsca schronienia. Program ochrony ludności i Fundusz Bezpieczeństwa i Obronności mają się wzajemnie uzupełniać, ale nawet przy tych środkach konieczne będzie bardzo rozsądne planowanie inwestycji.

Wodociągi pod szczególnym nadzorem

Jednym z najważniejszych tematów debaty była infrastruktura podwójnego zastosowania. Frankowski wskazywał, że samorządy już dziś wykazują ogromne zainteresowanie finansowaniem dróg, które mogłyby pełnić funkcje ewakuacyjne lub wojskowe.

Wojewoda zwracał również uwagę na rosnące zagrożenia dotyczące infrastruktury wodociągowej i energetycznej. Wiele sieci budowanych jeszcze z pierwszych funduszy unijnych ma już ponad dwadzieścia lat i wymaga pilnej modernizacji. Dodatkowym problemem stają się cyberataki na infrastrukturę krytyczną.

– W ubiegłym roku odnotowano w Polsce 93 incydenty cybernetyczne dotyczące sektora wodociągowego. Ta infrastruktura jest coraz starsza, coraz częściej dochodzi do awarii, a jednocześnie rośnie skala zagrożeń cyfrowych. Dlatego cyberbezpieczeństwo infrastruktury wodociągowej i energetycznej powinno być jednym z kluczowych kierunków inwestycji – powiedział Frankowski.

Schrony mają żyć, a nie stać zamknięte

Przedstawiciele administracji podkreślali również, że nowe obiekty ochrony ludności nie mogą być projektowane jako martwe, zamknięte przestrzenie, używane wyłącznie na czas wojny.

– Nie możemy powielać błędów z czasów PRL, kiedy schrony były budowane, zamykane i po latach nikt już o nich nie pamiętał. Te obiekty muszą żyć na co dzień. Mogą pełnić funkcję świetlic, parkingów podziemnych, hal sportowych czy sal koncertowych. W sytuacji kryzysowej mają chronić ludność, ale na co dzień powinny służyć mieszkańcom i być normalnie użytkowane – dodał Robert Klonowski.

Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej zapowiada, że pierwsze nabory do Funduszu Bezpieczeństwa i Obronności mają ruszyć jeszcze w czerwcu. Resort liczy, że pierwsze umowy z samorządami uda się podpisać jeszcze przed końcem roku.

eprasa.pl eb1c8fbccf

FOTO*komentarz tygodnia*



FOT. KPRM

27 MAJA, WIELKA BRYTANIA

W poprzednim tygodniu do Polski przyleciały pierwsze trzy z 32 samolotów F-35, które zamówiliśmy w USA. Teraz z kolei doszło do podpisania Traktatu o Partnerstwie w Dziedzinie Bezpieczeństwa i Obronności w Wielkiej Brytanii. Sygnowano go w Northolt, historycznej bazie polskich lotników z Dywizjonu 303. Ten dokument wzmacnia współpracę Polski i Wielkiej Brytanii w takich kwestiach, jak armia, przemysł zbrojeniowy, a także cyberbezpieczeństwo. Wszystko po to, żeby skuteczniej odstraszać. Rok temu Polska podpisała analogiczny traktat z Francją



FOT. PAP/EPA

25 MAJA, WATYKAN. **Leon XIV opublikował swoją pierwszą encyklikę. Dokument nosi nazwę „Magnifica humanitas" i jest w dużej mierze poświęcony sztucznej inteligencji. Papież podkreślił w niej, że nowa wirtualna rzeczywistość powinna być dostępna po równo dla wszystkich - nie tylko dla najbogatszych**



FOT. PAP/EPA

26 MAJA, AFRYKA. **Zanotowano już ponad 200 ofiar śmiertelnych wirusa Ebola, która pojawił się w maju w Ugandzie i Demokratycznej Republice Konga. Wpłynie to na ruch turystyczny i na piłkarski Mundial**



FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

26 MAJA, WARSZAWA. **To może być rekord. Na aukcję trafiła praca Magdaleny Abakanowicz „Bambini". Składa się z 83 figur dzieci, a jej wartość szacuje się na 14-18 mln zł. Obecny rekord to 6,89 mln zł**

eprasa.pl eb1c8fbccf

PULS
#218



BT/GETTY IMAGES

Dziecko w nas Str. 16–17

eprasa.pl eb1c8fbccf

Polska
Piątek–niedziela, 29–31.05.2026

Alicja Polewska

POTRAFIMY. NA MAXA



Znów to zrobił. Tym razem nie w kawalerce, ale kręcąc na rowerze. Ściągnął uwagę – „stare" media nauczyły się, by kontrolować jego przekaz na żywo, więc tym razem nie był potrzebny Borys Szyc, żeby przebił się przez rutynę weekendowych newsików. Swoją drogę Łatwogang jest niczym partyjny spin doktor, który planuje wszelkiej maści konwencje czy marsze od piątku do niedzieli wcale nie dlatego, że ludzie „mają wtedy wolne", ale dlatego, że łatwiej się z taką opowieścią przebić w serwisach informacyjnych.

Cel szczytny: 12 milionów złotych na terapią genową chorego na dystrofię mięśniową Maksa. Trasa od gór do morza, ale już w Toruniu zbiórka osiągnęła cel. Łatwogang powtórzył więc myk z poprzedniej akcji i pociągnął dalej; do 20 milionów! Fajnie, prawda?

Jest nowy, świeży. Autentyczny. Da się zwyczajnie lubić – mówi szybko, z emocji traci głos. I tym nas bierze.

Co dalej? Kto się teraz do niego dodzwoni, napisze, zaczepi na ryneczku przy straganie z truskawkami? Piotrek (Łatwogang to przecież ksywka internetowa) się przejmie, bo lont empatii ma krótki i znów pójdzie na całość. Ogarnie temat, a my się poklepiemy po ramionach: Uff, znowu to zrobiliśmy! Jesteśmy niesamowici! Mistrzowie! Znamy przecież to uczucie – przez ponad trzy dekady tak się czuliśmy w tę jedną styczniową niedzielę karnawału w środku zimy. Lubimy siebie w tym wydaniu. Fajnie, prawda?

Dobrze znam to uczucie bezradności, kiedy wiesz, że dla dziecka zrobisz więcej niż możesz, wbrew logice, zimnym faktom i statystyce. Idziesz pod wiatr, żeby nie wiem jak mocno wiał ci w oczy. Za każdą cenę. Zrobiłam to niemal 35 lat temu. Kiedy dzisiaj patrzę na moją córkę, cały czas widzę tamtą zbiórkę; to było niczym kaskaderstwo po szkole rolniczej. Trzymam kciuki za każdego rodzica, który zakłada zbiórkę (kiedy już wydrenuje portfele najbliższych, przyjaciół, sąsiadów i znajomych znajomych), przebije się do jakichś mediów, starych czy nowych, bo wiem, ile trzeba w sobie przewalczyć, żeby powiedzieć: potrzebuję, bez was nie dam rady. Tym bardziej dzisiaj, kiedy tak łatwo jest rzucić hejtem. Jak w Blankę Lipińską, która w chwili szczerości przyznała się, jak bardzo źle poczuła się, kiedy zeszła z niej euforia i zobaczyła swoją ogoloną głowę w lustrze w windzie bloku Łatwoganga. Poszła na żywioł, później do niej dotarło, że to było w realu, a nie w internetowym niby świecie. I dostała z obu nóg od tych, co zawsze wiedzą lepiej, których palce śmigają po klawiaturze szybciej niż F-35 nad Łaskiem, ale którym jakoś nie udaje się kliknąć w rubryce „wpłać" czy „wesprzyj". I teraz napisała, że wrzuca info, bo ma zasięgi, ale nic więcej, bo jeszcze nie dała rady się pozbierać po tym, co zdarzyło się przy „Dissie na raka". Fajnie?

Nie, wcale niefajnie.

Potrafimy w hejt. Tu też jesteśmy mistrzami. Na MAXA.

Marek Twaróg

RÓBMY ZMIANĘ WŁADZ MIASTA CO MIESIĄC, KAŻDY SIĘ WYKAŻE



W Polsce polityczna może być nawet grusza, w cieniu której siadał Syrokomla, nic więc dziwnego, że o referendum odwoławczym po wydarzeniach krakowskich nie da się normalnie gadać. Jest więc to referendum „zwycięstwem patriotycznej Polski", która „rozpoczyna marsz po Tuska", nawet jeśli to oczywisty idiotyzm opowiadany przez ludzi, którzy nic nie wiedzą o Polsce komunalnej (w przeciwieństwie do centralnej), a już na pewno niewiele chcą wiedzieć o Krakowie.

Jednak szczęśliwie tu i tam pojawiają się nieśmiałe głosy, które omijają polityczne brednie i trafiają w sedno: na ile łatwość, z jaką można odwołać władze miast, wypacza ideę kadencyjności, pewnej umowy społecznej, jaką zasadniczo zawiera się w naszym systemie wyborczym raz na pięć lat. I co równie ważne: na ile instytucja referendum odwoławczego paraliżuje rozwój miast.

Gdybyśmy oderwali się od uniwersum partyjnego – tych wszystkich pisowskich, peowskich i konfiarskich poziomów dyskusji – zobaczylibyśmy miasta małe i duże oraz ich mieszkańców, na życie których życie wpływają działania radnych i prezydentów co najmniej równie bardzo, jak decyzje zapadające na Wiejskiej. I którzy od zawsze, a przynajmniej od początku lat 90. i nowoczesnego samorządu wymyślonego przez profesora Regulskiego cierpią na chorobę zbyt krótkiej kadencji.

W mieście nigdy nie opłacało się robić czegokolwiek, co wykraczało ponad cztero-pięcioletnią perspektywę. Zbudować przedszkole – od biedy tak. Ale zgazyfikować całą dzielnicę – skoro nie dokończę przed wyborami, nie będzie czym się pochwalić, zostaną wykopki – to lepiej zostawmy to następcom. Chodnik wyremontujemy, ale obwodnicy już nie bardzo. Sytuację trochę zmieniły wielkie pieniądze z UE i generalnie rosnąca świadomość, ale choroba wciąż objawia się w zbyt wielu miejscach.

Referendum odwoławcze łatwo przeprowadzić, mimo że od lat nie zmieniły się przepisy w tym obszarze. Ale zmieniła się temperatura w polityce, zmienił się nasz mental, który dziś wszędzie każe walczyć, bić się, wykłócać, zamiast współpracować, zmienił się sposób uprawiania propagandy politycznej ubrany naukowo w termin „mediatyzacji polityki" . Łatwo jest dziś rozpętać burzę, uwieść wyborców populistycznymi argumentami, wzniecić ogień. W Radomiu, gdzie właśnie rozwija się inicjatywa referendalna w sprawie odwołania prezydenta miasta, Witkowskiego, chryja na ulicy skończyła się tak (cytuję tekst „Echa Dnia"): „Witkowski do Berlina! – dało się słyszeć z tłumu. „Precz z komuną" – zaczęli skandować uczestnicy marszu. W końcu organizatorzy zaintonowali Mazurka Dąbrowskiego". Jak w pigułce, taki właśnie mamy klimat.

Perspektywa władz miasta znów skraca się więc znacząco. Już nie pięć lat, już tylko od jednej odważnej decyzji do drugiej. Strefa Czystego Transportu w Krakowie była ponoć kontrowersyjna. Zostawmy kontrowersyjne decyzje! Kraków potrzebuje rewolucji w transporcie (jak niemal każde duże miasto z wyjątkiem Warszawy) – ale zostawmy, gadanie o metrze jest głupie, bo kto doceni gadanie o inwestycji, która będzie gotowa za 20 lat. Za 20 lat uznanie nie będzie obecnemu prezydentowi potrzebne.

Przez lata jęczałem sobie w nie tak znowu małym gronie w miastach, że brakuje odwagi, wielkich idei modernizacyjnych. Że tylko od wyborów do wyborów. Że wygrywa pogląd internetowych mędrków, którzy odezwą się zawsze w stylu „brakuje na podcięcie rabatek w parku i wymalowanie pasów na przejściu, a ten bierze się za obwodnicę i budowę hali i stadionu!".

Referendum odwoławcze jest instrumentem kontroli społecznej. Oczywiście. Jednocześnie sprawia, że władze miast nie będą podejmować przełomowych decyzji, a już na pewno trudnych decyzji. Też oczywiście. Łamie pewną umowę społeczną, w ramach której dajemy władzom czas na wykazanie się, i wpychają nas w permanentną kampanię wyborczą – również oczywiście.

Nie jestem w stanie pojąć tego, że w jakikolwiek sposób można kwestionować tego rodzaju działanie z Wielką Brytanią. (...) Jeśli prezydent uważa, że nie powinien złożyć swojego podpisu pod tym traktatem, to niech to wyraźnie powie. To jest po prostu działanie przeciwko interesom Polski, są granice walki politycznej

MINISTER KOORDYNATOR SŁUŻB SPECJALNYCH TOMASZ SIEMONIAK O TRAKTACIE BRYTYJSKO-POLSKIM

eprasa.pl eb1c8fbccf

System kaucyjny od kuchni. **Co zrobić, żeby nie tonąć w plastikowych butelkach?**

System kaucyjny wszedł w życie i szybko zmienił codzienne nawyki Polaków. Choć jego celem jest ograniczenie ilości odpadów i zwiększenie poziomu recyklingu, dla wielu osób oznacza również nowe wyzwania związane z przechowywaniem i transportem opakowań.

Butelki PET i puszki pod specjalnym nadzorem

Nowe przepisy wynikają bezpośrednio z unijnej dyrektywy SUP (Single-Use Plastics), której celem jest zwiększenie poziomu selektywnej zbiórki odpadów. Do punktów zwrotu trafiają butelki z tworzyw sztucznych (PET) o pojemności do 3 litrów oraz puszki metalowe do 1 litra, za które przy kasie pobierana jest dodatkowa opłata. Choć statystyki pokazują, że Polacy chętnie oddają opakowania, codzienne funkcjonowanie w nowym systemie bywa dla konsumentów sporym wyzwaniem.

Z jakimi uciążliwościami się mierzymy?

Poparcie dla idei czystego środowiska to jedno, a codzienne funkcjonowanie w małych mieszkaniach i kuchniach to drugie. Nawet najbardziej proekologiczni konsumenci zauważają, że system generuje kilka stałych niedogodności:

- Brak możliwości zgniatania butelek.
- Uciążliwy transport opakowań. **Noszenie worków z butelkami i puszkami do punktów zwrotu bywa zwyczajnie niewygodne.**
- Zamrażanie gotówki przy kasie.

Jak zaadaptować przestrzeń kuchenną?

Projektanci wnętrz i specjaliści od domowej ergonomii podkreślają, że polskie kuchnie nie były projektowane z myślą o przechowywaniu dużej liczby niezgniecionych butelek PET.

Choć nowoczesne systemy meblowe mogą częściowo pomóc w organizacji przestrzeni, znacznie wygodniejszym rozwiązaniem jest po prostu ograniczenie kupowania wody w jednorazowych opakowaniach plastikowych na rzecz filtracji wody kranowej.

Głos eksperta: Filtrowanie wody jako alternatywa dla plastiku

Czy da się pogodzić troskę o środowisko z eliminacją uciążliwego zbierania i wożenia butelek PET?

Odpowiedzią jest ograniczenie powstawania odpadów u samego źródła. Coraz więcej osób zamiast kupowania wody w plastikowych butelkach wybiera nowoczesne systemy filtracji wody kranowej. Jednym z wygodniejszych rozwiązań są podzlewowe systemy filtrujące, które zapewniają stały dostęp do świeżej wody bez konieczności magazynowania zgrzewek czy oddawania opakowań w ramach systemu kaucyjnego – **dodaje**



Piotr Ściegienny, Członek Zarządu Formaster SA, właściciela marki Dafi.

Urządzenie montuje się bezpośrednio pod zlewem i podłącza do domowej instalacji wodnej. Odpowiednio dobrane wkłady filtrujące poprawiają smak i zapach wody, a także pomagają ograniczyć osadzanie się kamienia w sprzętach AGD.

Ekspert dodaje, że dzięki takiemu rozwiązaniu użytkownik zyskuje stały dostęp do filtrowanej wody prosto z kranu, ogranicza ilość plastikowych odpadów i odzyskuje miejsce w kuchni.

Innowacyjne rozwiązania Flow Comfort od DAFI

Przykładem takiego rozwiązania jest system podzlewowy Dafi Flow Comfort. W zależności od potrzeb użytkownika system może współpracować zarówno z dedykowanym kranikiem do wody filtrowanej, jak i z nowoczesną baterią trójdrożną umożliwiającą korzystanie z wody filtrowanej oraz standardowej z jednej wylewki.

W ofercie dostępne są trzy rodzaje wkładów filtrujących dopasowanych do różnych potrzeb domowników: Perfect, Basic, Coffee&Tea.

Świadomy wybór w trosce o planetę i domowy budżet

System kaucyjny bez wątpienia pomaga zwiększać poziom recyklingu i ograniczać ilość odpadów. Jednak z perspektywy codziennego życia coraz więcej osób szuka rozwiązań, które pozwolą ograniczyć ilość plastiku już na etapie zakupów.

Bo najprostszy sposób na mniej plastiku to po prostu ograniczyć jego codzienne kupowanie.



eprasa.pl eb1c8fbccf

Polska
Piątek–niedziela, 29–31.05.2026

– Wszystko, co robisz, robisz nie tak, jak trzeba – taki przekaz często zostaje w córkach na całe życie. O tym, jak z ciągłego poprawiania dziecka rodzi się dorosła perfekcjonistka, mówi psycholożka Marta Suska, autorka książki „Szczęśliwa dorosła córka. Uzdrawianie ran z dzieciństwa”

Anita Czupryn



FOT. 123RF

Marta Suska: Macierzyństwo często otwiera różne pytania: co dostałam od swojej matki, czego nie dostałam, co mogę dać swojemu dziecku?

MARTA SUSKA: CÓRKA MA PRAWO DO SWOJEGO ŻYCIA, NAWET JEŚLI MATKA SIĘ OBRAZI

Kiedy zobaczyłam tytuł pani książki „Szczęśliwa dorosła córka”, pomyślałam, że brzmi on jak obietnica. Czy dorosła córka może być szczęśliwa, jeśli nie miała szczęśliwej relacji z matką?
Może być szczęśliwa. Tylko że to wymaga pracy i powrotu do siebie. Rozmawiałam ostatnio z przyjaciółkami i jedna z nich powiedziała trafnie, że nasze społeczeństwo składa się z matek i ich dzieci. Coś w tym jest. Bo nie chodzi tylko o córki. Chodzi w ogóle o dzieci. Ten powrót do siebie, do swojego wewnętrznego dziecka, do jego utulenia, do potrzeby akceptacji - on jest możliwy. Dzięki terapii, dzięki kontaktowi z ludźmi, którzy będą nas otulać ciepłem i akceptacją. To naprawdę możliwe.

Napisała pani książkę dla córek niekochanych, kochanych za mocno, zaniedbanych, albo też zaopiekowanych nadmiarowo. To bardzo szerokie spektrum. Co te osoby mają ze sobą wspólnego? Czy to są te same rany?
Nie do końca. Bo mamy różne style wychowania i różne matki. I nie zawsze chodzi o doświadczenia traumatyczne. Czasem chodzi o styl wychowawczy. O to, czy matka była bardziej kontrolująca, czy bardziej zaniedbująca. Można więc powiedzieć, że to są różne style, ale rana albo ślad, który po nich zostaje, bywa bardzo podobny.

Najtrudniejsze dzieciństwo to zawsze to, w którym jest przemoc, chłód, porzucenie? Czy trudne może być także dzieciństwo z matką, która kocha za bardzo?
Może być. Mówimy wtedy o więzi symbiotycznej, w której matka zadusza autonomię dziecka. To jej potrzeby, jej lęk, jej emocje są na pierwszym miejscu. I ona zaczyna tym dzieckiem sterować, kierować, pozbawiać je własnej decyzyjności i poczucia wartości. Dziecko gubi swoją tożsamość. Nie wie, kim jest. Nie może się wyodrębnić. To jest bardzo trudne. Taka matka często używa dziecka także do swoich celów, w sposób parentyfikujący. Czyli czerpie z dziecka jak z partnera, szczególnie wtedy, gdy tego partnera nie ma.

W Polsce chyba w ogóle mamy niepisany zakaz mówienia źle o matce. Matki się nie rusza. Czy pani obserwuje, że to się zmienia?
Matka w ogóle jest ikoną, prawda? Na szczęście u nas nie jest tak jak u Włochów. Nie wiem, czy oglądała pani „Rodzinę Soprano”. Tam Tony Soprano, kiedy w kontakcie z terapeutką zaczęło do niego dochodzić, co robiła jego matka, przeniósł agresję właśnie na terapeutkę.
W Polsce też bardzo często lojalność wobec rodzica, zwłaszcza wobec matki, jest tak duża, że trudno ruszyć z terapią. Trudno powiedzieć coś złego o swojej mamie. W ogóle trudno powiedzieć o rodzicu: „On mnie krzywdził”, „Ona coś mi robiła”. Wolimy to polukrować, stłumić, nie patrzeć w tę stronę. Bo to często rodzi ogromny wstyd. Jeśli miałam taką złą matkę, to co to mówi o mnie? Wtedy boimy się dotknąć także siebie, swojego poczucia wartości. Dlatego tak bardzo unikamy mówienia źle o rodzicach. A przecież rodzice zawsze będą nieidealni. Chodzi o to, żeby zobaczyć, że nie są ikonami. Nie są ideałami.

Kiedy dorosła kobieta zaczyna rozumieć, że lęk, wstyd albo perfekcjonizm nie wzięły się z jej charakteru, tylko z tego, co wydarzyło się w dzieciństwie?
Często dosyć późno. Chociaż przychodzą do mnie także młode dziewczyny, którym perfekcjonizm bardzo już przeszkadza. Mają ataki paniki, objawy somatyczne, lękowe. Są przeciążone. Czasem reagują depresją, bo to przeciążenie jest naprawdę duże. I wtedy pojawia się pierwszy kontakt ze sobą. Pierwsze uzmysłowienie sobie, że to wszystko ma jakieś źródło. Ale jest też taki moment, kiedy same zostajemy rodzicami. Wtedy bardziej czytelnie dochodzi do nas, że mamy różne deficyty, różne niedostatki. Że trudno dać swojemu dziecku coś, czego same nie dostałyśmy. Przychodzą do mnie kobiety, które dopiero planują dziecko, myślą o macierzyństwie albo są na jego początku. Nie zawsze dlatego, że sama zmiana życia je nadwyrężyła, choć oczywiście są też kobiety z depresją poporodową. Często przychodzą dlatego, że macierzyństwo otwiera w nich różne pytania: co dostałam od swojej matki, czego nie dostałam, co mogę dać swojemu dziecku?

Są takie zdania od naszych mam, które zostają z nami na całe życie, nawet kiedy matki już nie ma. Ale pewnie nie wszystkie potrafimy rozpoznać. Czasem sama łapałam się na tym, że zachowuję się jak własna matka. Jakie przekazy najczęściej zostają w córkach?
Bardzo często zostaje z nami przekaz rodzinny i on zostaje nie tylko w głowie, ale też w ciele. Na przykład jako niewypowiedzenie, które zatrzymuje się w gardle. Jednym z takich przekazów jest: „Nie mów nikomu, co się dzieje w domu”. I nie chodzi tylko o przemoc. Czasem chodzi o to, że dom ma być zamknięty, bo inni ludzie mogą nam zagrażać. Rodzi się nieufność. Dom staje się wyizolowany. Nie wolno nikogo wpuścić, nie wolno niczego wynosić na zewnątrz. Z tym wiąże się także zakaz wypowiadania własnego zdania, zakaz buntu. To później niesiemy w świat. Bo przecież trzeba być grzeczną. Jest w nas też taka wielopokoleniowa służebność kobiet. Matka Polka, kobieta, która ma służyć innym, podawać do stołu, robić dla innych, poświęcać się. Macierzyństwo w ogóle zakłada pewien rodzaj samopoświęcenia.
A kiedy kończy się macierzyństwo, zaczynają się wnuki i często pojawia się kolejne oczekiwanie: teraz będziesz zajmować się wnukami, to jeszcze nie jest czas dla ciebie. No więc kiedy jest czas dla mnie? Kiedy mogę zająć się sobą? Jak już odsłużę swoje?

Jakie zdania matek najczęściej zostają w córkach na całe życie? Z czym przychodzą do pani kobiety?
Bardzo często to nie są nawet zdania wypowiedziane wprost, tylko przekaz niewerbalny. Czegoś takiego nie zawsze można nazwać traumą, ale to zostaje w nas jako przekonanie. Na przykład: wszystko, co robisz, robisz nie tak, jak trzeba.
A w jaki sposób matki to przekazują? Przez ciągłe poprawianie dzieci. Przez komunikaty: możesz to zrobić lepiej, to nie jest twoje najlepsze wykonanie, popraw się. Albo przez takie strofowanie: jak masz tak robić, to lepiej nie rób wcale. To właśnie buduje dążenie do perfekcjonizmu. I to jest chyba najbardziej zabijające poczucie sprawczości, bo dziecko nigdy nie zrobi czegoś tak, żeby zadowolić mamę. Czasem te przekazy są delikatniejsze, mniej systematyczne. A czasem dziecko w każdej sprawie słyszy albo czuje, że nie domaga, że coś jest nie tak. Nie ma przestrzeni, żeby się wykazać, żeby usłyszeć: zrobiłaś to dobrze, to jest skończone, już nie trzeba poprawiać. I to właśnie napędza perfekcjonizm.

Jak rozpoznać, które z tych „prawd” i przekonań są moje, a które odziedziczyłam po matce?
Czasami to są rzeczy słyszalne, konkretne zdania. A czasami to są sposoby radzenia sobie. To jest kwestia samoświadomości i obserwacji. Najpierw potrzebujemy zobaczyć siebie. Zapytać: co z tego naprawdę jest moje? W terapii bywa takie ćwiczenie: mam jakieś przekonanie, na przykład „jestem niewystarczająca”, i zaczynam się zastanawiać, kiedy ono do mnie przyszło. Od kiedy jest ze mną? Czy od szkoły podstawowej? Czy pojawiło się później? Kto w mojej rodzinie używał takiego przekonania albo żył tak, jakby ono było prawdą? Wtedy możemy namierzyć, skąd to pochodzi. Dziecko jest w pewnym sensie niezapisaną kartką papieru. Oczywiście rodzimy się z genami, coś jest nam przekazane biologicznie, ale bardzo dużo dzieje się przez kształtowanie i modelowanie przez rodziców. I ten przekaz może być naprawdę niewerbalny. Modelowanie jest najskuteczniejszym sposobem wychowania. Nie to, co rodzic mówi: „Masz być uczciwy”, jeśli na przykład sam kradnie. Wtedy dziecko dostaje podwójny przekaz. Albo słyszy: „Nie pal papierosów”, kiedy oboje rodzice palą. Nie da się oczekiwać, że dziecko po prostu przyjmie coś zupełnie innego. Albo: „Idź do innych dzieci” –

eprasa.pl eb1c8fbccf

mówi matka, siedząc na placu zabaw. Sama patrzy w telefon, sama nie nawiązuje kontaktu, a wymaga od dziecka, żeby się nie izolowało, tylko poszło do dzieci. To jest właśnie podwójny przekaz. Dziecko najwięcej uczy się przez to, jak my żyjemy. I to ma swoje dobre i złe strony. Pokazujemy mu zarówno dobre rzeczy, jak i te bardzo trudne. Tak jak powiedziałam na początku: z pustego w próżne nie naleję. Jeśli sama czegoś nie dostałam, jeśli nie mam jakichś zasobów i ich nie rozwinę, to nie pokażę ich dziecku. Nie mogę też wymagać od dziecka, że ono będzie inne, jeżeli ja mu tego nie dałam. Na przykład: jeśli nie dałam mu akceptacji, to jak to dziecko ma w przyszłości akceptować siebie?

Pisze pani o Krytycznym Rodzicu, który każe pracować więcej, szybciej, lepiej, nie pozwala odpoczywać, porównuje. Czy to jest głos matki, który z czasem zamienia się w nasz głos wewnętrzny?
Tak. Właśnie tak. Te krytykujące komunikaty, które dostajemy, bardzo często później powtarzamy sobie w głowie. Czasami są to bardzo raniące, wręcz rujnujące komunikaty. Na przykład dotyczące inteligencji. Kiedyś częściej mówiło się do dzieci: „Jesteś debilem", „Głupia jesteś".

Albo: „Nie możesz być normalna jak inne dzieci? Jesteś nienormalna".
Tak. I to porównywanie. Bardzo dobrze, że pani o tym powiedziała, bo porównywanie do innych dzieci też jest niszczące. Dziecko dostaje wtedy komunikat: taka, jaka jestem, nie jestem taka, jak trzeba. Inne dzieci są lepsze. Inne dzieci są bardziej widziane przez mamę. A najgorzej, kiedy jesteśmy porównywani do rodzeństwa.

Słyszałam też, gdy matka zarzucała dziecku: „Nie masz ambicji". Jak więc odróżnić zdrową ambicję od programu matki: trzeba udowodnić, trzeba być bez zarzutu, trzeba zawsze dowozić?
Poznajemy to po uczuciu. Po tym, czy coś robimy dla siebie, czy dla kogoś. Czy ja mam dziecko, wybieram pracę, idę na studia dlatego, że to jest moje? Czy dlatego, żeby moi rodzice się cieszyli i byli ze mnie zadowoleni? Potrzebujemy to odróżnić. Oczywiście, że potrzebujemy aprobaty. To nigdy nie jest zupełnie oderwane od rodziców, bo rodzice nadają nam jakiś kierunek. Ale jeżeli za każdym razem, kiedy przyjeżdżam do domu, czekam na uznanie, na pochwałę, a ona nigdy nie przychodzi, to jest ważna informacja. Może przez całe życie robiłam coś dla swoich rodziców. To bywa bardzo frustrujące. Kobiety często opowiadają mi na przykład, że kiedy przyjeżdża mama, dom musi być posprzątany. Nieważne, czy ta kobieta dopiero urodziła dziecko, jest w połogu, czy jest wykończona. Musi być posprzątane. Okna muszą być umyte, jeśli mama przyjeżdża na święta. Bo co mama powie? Podobnie jest z wychowywaniem dzieci. Córka stara się mówić do dziecka tak, jak będzie to aprobowane przez jej rodzica. Albo nie mówi matce, że ma trudności wychowawcze. Nie mówi, że dziecko dostało jedynkę, bo mama będzie niepocieszona. Albo musi wyjść za mąż w odpowiednim czasie, bo pojawia się oczekiwanie: kiedy będą dzieci?

Przez całe dzieciństwo małej dziewczynce bardzo zależy na akceptacji matki. Odczytuje, czego matka chce, próbuje to spełnić. Czy potem, już jako dorosła kobieta, może sama nie bardzo wiedzieć, czego chce? I jak ma się dowiedzieć, czy to, co robi, to dlatego, że sama tego chce, czy dlatego, że chce jej mama?
Nasza autonomia, nasze prawidłowe autonomizowanie, powinno dokonywać się w wieku nastoletnim. Mniej więcej do dwudziestego roku życia zaczynamy się wyodrębniać, nasza osobowość się kształtuje. To jest taki pierwszy ważny okres w dorosłości. Ale jeśli więź z matką jest nieprawidłowa, możemy nawet do czterdziestki czy pięćdziesiątki być ciągle pod jej jurysdykcją. Jeżeli nie zautonomizujemy się w wieku nastoletnim albo we wczesnej dorosłości, to później dużo zależy od tego, co nam się w życiu przytrafi. Może być tak, że pojawi się partner, który wyjedzie z nami do innego kraju, i wtedy stajemy się bardziej niezależne. Moje dorosłe dziecko wyjechało teraz na Erasmusa i mówi, że najlepiej wychowuje się sam ze sobą. To jest jego pierwszy taki wyjazd. I coś w tym jest. Kiedy jesteśmy odseparowani od rodziców, możemy się bardziej zautonomizować i poczuć, czego naprawdę chcemy. Dzieje się to także w terapii. Kiedy przerabiana jest więź z którymś z rodziców, często intuicyjnie trochę się od tego rodzica odsuwamy. Czasem bardziej, czasem mniej. Nie dzwonimy tak często, nie jeździmy, potrzebujemy dystansu. Nie po to, żeby zniszczyć relację. Raczej po to, żeby złość albo inne trudne emocje na niej nie zaważyły. Żeby można było to w sobie przepracować. Później często następuje powrót do rodzica, ale już z innego miejsca.

Czyli matka powinna wtedy po prostu poczekać? Nie narzucać się?
To jest trudne, bo matka bardzo często nie jest na tym samym etapie. Nie jest w terapii. Przez całe życie była taka sama, więc może tego nie rozumieć. Bardzo często złości się na dziecko, domaga się czegoś – tego samego, czego domagała się wcześniej. I wtedy zautonomizowanie się od takiej mamy jest naprawdę trudne.

Jakie dorosłe objawy może mieć córka, która przez całe dzieciństwo była „grzecznym dzieckiem"?
Na przykład w relacji romantycznej też jest podporządkowana. Bardziej skłania się ku temu, czego chce partner, co on zrobi, czego oczekuje. Bardzo często dostosowuje się w sposób lękowy.

Nie stawia granic.
Trudno jest jej stawiać granice także w innych relacjach, również w pracy. Trudno jej awansować, zawalczyć o siebie. Stara się pracować jak najlepiej. To są zazwyczaj osoby, które zrobią wszystko dokładnie, poprawnie. Będą robiły nadgodziny. Nie zaprotestują, kiedy pojawią się zmiany, które nie uwzględniają ich ścieżki zawodowej. Po prostu się podporządkują. I to jest smutne, bo one nie umieją zawalczyć o siebie. Nie potrafią postawić granic. Tracą swoją autonomię i swoje życie na rzecz innych osób.

Bywa i tak, że matka zaczyna chorować albo ma inne problemy. Robi z córki pocieszycielkę, powierniczkę, domaga się opieki. Kiedy troska o mamę może stać się więzieniem?
To może być różnie przeżywane. Czasami opieka nad mamą jest oddaniem jej tego, co ona sama z siebie dała. Dziecko czuje wdzięczność. Wiadomo, każdy z nas ma jakiś dług wobec rodzica. Rodzic będzie chorował, będzie miał demencję, będzie potrzebował naszego wsparcia. Będzie zależny od nas, tak jak my kiedyś byliśmy zależni jako dzieci. To jest pewien dług do spłacenia. Ale zupełnie inaczej opiekuje się rodzicem, który był dla nas dobry, ciepły, wspierający, a inaczej z chłodną matką, która nie dawała wsparcia, matką kontrolującą, trudną, kłótliwą. I taką mamą w starszym wieku naprawdę trudno się opiekować. Czasem rodzice, im są starsi, tym bardziej się domagają. I to nie musi być siedemdziesięcioczy osiemdziesięcioletnia chora kobieta. Są też mamy, które mają pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat, jeszcze pracują zawodowo, a już domagają się od dorosłych córek, żeby przyjeżdżały co tydzień, żeby poświęcały im każdy weekend, żeby pieliły w ogródku. Bo to ma być wyraz szacunku do mamy.

W książce pojawia się też zdanie, że mamy prawo do swojego życia, nawet jeśli matka się obrazi. Dla wielu dorosłych kobiet to zdanie może być rewolucyjne. Dlaczego? Mam wrażenie, że poczucie winy tak często stoi za lojalnością wobec matki.
Tak, niestety tak. Mama zawsze może powiedzieć: „Nie tak cię wychowałam". To jest bardzo częsty tekst. Pojawia się zwykle wtedy, kiedy matce coś się nie podoba i kiedy próbuje zdyscyplinować córkę, choć ta córka jest już dorosła. Ma swoje życie. Na przykład matka mówi: „Miałaś do mnie przyjechać w ten weekend, a nie przyjechałaś". A córka chciała wyjechać ze znajomymi nad jezioro. I nagle jest w dysonansie, w dyskomforcie. Co powinna zrobić? Z jednej strony jest mama, z drugiej – jej własne życie. Jeżeli więź jest oparta na szacunku i uznaniu odrębności drugiej osoby, matka zrozumie, że mogą się zobaczyć w następnym tygodniu. Albo jeszcze w kolejnym. Przecież się nie pali.

W rozmowach z koleżankami słyszę dość często nawet: „Nie chcę rozdrapywać dzieciństwa, rodzicom już wybaczyłam, nie ma do czego wracać, było, minęło". Sama zresztą powiedziałam coś podobnego mojej terapeutce. Kiedy powrót do dzieciństwa jest potrzebny, a kiedy może stać się pułapką? Kiedyś myślałam, że jak ktoś ma sześćdziesiąt parę lat i oskarża nieżyjącą matkę za to, że ma nieudane życie, to myślałam, że miał czas, żeby coś z tym zrobić.
Tak, ale czasami dopiero w wieku sześćdziesięciu lat odkrywamy, że matka robiła coś takiego, przez co ja dzisiaj mam trudności, na przykład w każdym swoim romantycznym związku. Każdy ma swój czas dochodzenia do różnych prawd. I to, że ktoś odkrywa coś dopiero w wieku pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu lat, wcale nie jest złe. Myślę, że zawsze trzeba przyjrzeć się rodzicom, bo to jest baza, z której startujemy. Jeśli patrzymy tylko na tu i teraz na swoje problemy psychiczne, depresyjne, lękowe, to bywa dość płytkie. Pewne struktury zostały w nas ukształtowane w dzieciństwie. Style radzenia sobie także pochodzą z dzieciństwa. Mówię tu o schematach, które w dorosłym życiu często stają się nieadaptacyjne. Jeśli w dzieciństwie radziłam sobie przez podporządkowanie, bo byłam zależna od rodziców i musiałam się podporządkować, to w dorosłym życiu ten sposób może mi już nie służyć. Na przykład w korporacji. Bo wtedy próbuję przypodobać się każdemu szefowi, każdej koleżance, każdemu się podporządkować. A więc potrzebuję to zmienić. Dlatego warto się temu przyjrzeć. Wiem, że mniej więcej jedna trzecia pacjentów nie chce wracać do przeszłości. Ludzie boją się odkrywać dzieciństwo. A im bardziej unikają tego tematu, tym bardziej narasta lęk. Często zupełnie niepotrzebnie. Bo tam nie zawsze jest jakaś czarna dziura. Nie zawsze jest trauma w najbardziej dramatycznym rozumieniu. Często jest po prostu ten krytyczny rodzic. W Polsce długo wychowywaliśmy dzieci przez negowanie: przez krytykę, ciągłe poprawianie, korygowanie. Dopiero w ostatnich latach więcej mówi się o nagradzaniu, o pozytywnym wzmacnianiu. Wcześniej bardzo często była tylko korekta negatywem: robisz nie tak, nie tak cię wychowałam. Czasem jest też tak, że rodzic był niespójny. Krytykował, ale też potrafił docenić. Chwalił za coś, a potem znowu uderzał w dziecko słowem. I znowu chwalił, i znowu ranił. Można powiedzieć, że to i tak lepsze niż sama krytyka, ale dla dziecka to nadal jest bardzo trudne. Bywa też, że mamy krytykującą matkę, ale w naszym otoczeniu są osoby, które nas wzmacniają. To może być nauczyciel, drugi rodzic, babcia. Ja miałam fantastyczną babcię. Ona zawsze mówiła: „Martusiu, cokolwiek zrobisz, będzie dobrze. Ja może nie wiem, może głupia jestem, ale ty będziesz wiedziała najlepiej". I to jest właśnie zaufanie do dziecka.

Jest jeszcze temat, który często wraca w przestrzeni publicznej: przebaczenie. Czy przebaczenie matce jest konieczne, żeby pójść dalej? A jeśli córka nie chce przebaczyć, czy nadal może zdrowieć?
Wrócę jeszcze do tego, o czym pani mówiła wcześniej: czy jest sens rozgrzebywać dzieciństwo. Bo czasami rzeczywiście można utknąć w takim rozgrzebywaniu skrzywdzenia. Ale myślę, że nie chodzi przede wszystkim o przebaczenie rodzicowi. Chodzi raczej o uznanie, że to jest część mojej przeszłości. Część mojego dzieciństwa, a czasem nawet całe moje dzieciństwo. I teraz pytanie brzmi: co mogę zrobić dzisiaj? Mogę spróbować to naprawić. Naprawić po moich rodzicach to, co, za przeproszeniem, spieprzyli. W terapii mówi się o powtórnym rodzicielstwie. Jeśli pacjent nie ma jeszcze zasobów, żeby być własnym dobrym rodzicem, terapeuta bywa takim wspierającym rodzicem. Czasem też wyobrażamy sobie tego rodzica, którego potrzebowaliśmy. W mojej książce piszę o różnych typach matek i o tym, czego możemy od matki potrzebować. Jest tam cała paleta rzeczy: bezpieczeństwo, uznanie, akceptacja, przewodnictwo. I warto zobaczyć, w jaki sposób mogę dać sobie te rzeczy sama. A jeśli sama jeszcze nie potrafię, to gdzie mogę ich szukać? Może trochę da mi przyjaciółka. Może mentorka. Może trener. Ktoś mi zamodeluje jak mogę sobie samej to dać. Potrzebujemy sami po to sięgać i budować własne zasoby. Robimy to dzięki terapii, ale też dzięki warsztatom, książkom, dobrym relacjom.

I tak dochodzimy ostatniego pytania: kim jest szczęśliwa dorosła córka? Czy to jest kobieta, która ma już dobrą relację z matką? Czy raczej ta, która wreszcie ma dobrą relację z samą sobą?
Ta, która ma dobrą relację z samą sobą. Szczęśliwa dorosła córka jest dla siebie najlepszą wersją matki, jaka mogłaby jej się trafić. Buduje w sobie wewnętrzną matkę. Taką, która utuli, zaopiekuje się, odpowie na potrzebę. Jeżeli jestem zestresowana, to zauważam to i staram się być responsywna wobec siebie. Czyli odpowiedzieć na swoją potrzebę. Mogę sobie powiedzieć: chodź, pójdziemy na jogę. Albo: może teraz pójdź spać, prześpij się. Napij się czegoś ciepłego. Zrób sobie herbatę. Bo nie zawsze chodzi o powrót do prawdziwej matki. Czasami taki powrót jest niemożliwy. Szczególnie jeśli matka była karząca, jeśli się znęcała, jeśli była narcystyczna. Albo po prostu już jej nie ma, nie żyje, i naprawienie relacji z nią nie jest możliwe. Dlatego potrzebujemy zbudować tę matkę w sobie.

KSIĄŻKA



Marta Suska, „Szczęśliwa dorosła córka. Uzdrawianie ran z dzieciństwa", Wydawnictwo RM, 2026

eprasa.pl eb1c8fbccf

Polska
Piątek–niedziela, 29–31.05.2026

WIERZYMY, ŻE MAKSIU ZAGRA KIEDYŚ W PIŁKĘ NOŻNĄ

Po tym, jak influencer Łatwogang zebrał 12 mln zł na pomoc 8-letniemu Maksiowi, choremu na genetyczną chorobę dystrofii mięśni, w życiu jego rodziny pojawiło się światło nadziei. Chłopiec będzie mógł przejść nowatorską terapię genową w Stanach Zjednoczonych

Piotr Samolewicz

Po sukcesie pierwszego challengu (ang. wyzwania) Łatwoganga na rzecz dzieci chorych onkologicznie, wielu ludzi zaczęło zgłaszać się do Piotrka Hanckego o pomoc, także rodzice Maksymiliana, Anna i Robert Toccy ze wsi Dziurdziów koło Leska na Podkarpaciu. Zaledwie na kilka dni przed planowaną akcją Łatwoganga dowiedzieli się, że chce on przejechać na rowerze bez snu z Zakopanego do Gdańska w celu zebrania pieniędzy na leczenie ich synka.

- Na życzenie Piotrka akcja była utrzymywana do końca w tajemnicy. Bo nie było wiadomo, czy uda się ją „spiąć" organizacyjnie - mówi mama Maksymiliana.

Państwo Toccy żegnali influencera w piątek, 22 maja w Zakopanem. Potem cała rodzina pojechała samochodem do Gdańska.

- Nie wyobrażaliśmy sobie, że może nas nie być w Gdańsku i mu nie podziękować za to, co dla nas zrobił.

Piotr Hancke pokonał ok. 660 km w 52 godziny. Jego wyczyn był transmitowany w sieci, im bardziej zmniejszał się dystans do Gdańska, tym więcej ludzi wpłacało pieniądze na pomoc dla Maksa, a później też dla drugiego chłopca chorego na tę samą chorobę, Adasia.

Piotra Hanckego witały tłumy

- Z Piotrkiem spotkaliśmy się na stacji paliw przed Gdańskiem. Już na niej były tłumy. Ludzie czekali na niego przy drogach, witali transparentami i flagami. Najwięcej ludzi powitało go w mieście: dzieci, motocykliści, rowerzyści. Wszyscy podążali za autobusem, w którym jechał Piotrek i jego ekipa. Miało się wrażenie, jakby ludzie witali jakąś sławę, bohatera. Zresztą nie ma co ukrywać, że Łatwogang jest bohaterem - mówi pani Anna.

- Zwierzył nam się, że miał już takie momenty, że czuł się naprawdę słaby, szczególnie w ostatnią noc przed finałem przed stadionem Arena w Gdańsku. Ale dał radę, jego wyczyn jest nie do opisania. Na stacji paliw, na której spotkaliśmy się, widzieliśmy, że jest słaby, tymczasem to on się nas pytał, jak my się czujemy. „U mnie wszystko jest OK" - mówił. Niesamowity człowiek! Myślę, że witający go ludzie na finale w Gdańsku, krzyczący i machający, dodali mu energii. Wszyscy zaśpiewali mu „Sto lat!".

We wtorek, 26 maja Łatwogang oświadczył, że dla Maksia i Adasia zebrał 15,5 mln zł. Pieniądze nadal wpływają, ale nie pomogą wszystkim dzieciom w Polsce chorym na dystrofię mięśni Duchenne'a (DMD). Dlatego streamer zaapelował do premiera i prezydenta, by - działając ponad politycznymi podziałami - obniżyli w Polsce olbrzymie koszty leczenia tej choroby.

Akcja Piotrka Hanckego przyniosła na leczenie Maksia 12 mln zł, 3 mln zł pochodzi z lokalnych charytatywnych akcji w Bieszczadach. Suma pozwoli na przeprowadzenie genowej terapii Maksa w klinice w Bostonie. Szczegóły badań chłopca i operacji będą dopiero ustalane.

- Terapia ta została wprowadzona w USA kilka lat temu. Poprzedziły ją lata badań. Najpierw była stosowana tylko w przypadku dzieci do 4. roku życia. Potem trwały badania, by ją rozszerzyć na starsze. To jest jedyna rzecz, która daje nam nadzieję. Nie mamy innego wyboru. Lek zostanie podany dożylnie. Pobyt w klinice będzie trwał 3 miesiące. Przed i po aplikacji leku będzie monitorowane serce i wątroba

AUTOREKLAMA 0111521052



ENERGIA Z POLSKI LOCAL FIRST
Forum Dostawców Przemysłu Energetycznego i Obronnego
Rzeszów 2026

Już 15 czerwca w Rzeszowie
Forum Dostawców Przemysłu Energetycznego i Obronnego

Twoja firma może stać się dostawcą w przemyśle energetycznym i obronnym. Wielkie inwestycje czekają także na Ciebie.

TEMATY PANELI:
- Biliony do wydania – jak zatrzymać kapitał w Polsce?
- Finansowanie projektów strategicznych
- Transformacja energetyczna jako szansa dla polskich firm
- Polski przemysł zbrojeniowy – od podwykonawcy do integratora

Zapisz się już dziś! energiazpolski.pl
Udział bezpłatny. Liczba miejsc ograniczona.

ORGANIZATOR
POLSKA PRESS GRUPA

PATRONAT MEDIALNY
strefa BIZNESU.pl

PATRONAT HONOROWY
Ministerstwo Aktywów Państwowych
Wiceprezes Rady Ministrów Minister Obrony Narodowej
Władysław Kosiniak-Kamysz
Konrad Fijołek Prezydent Miasta Rzeszowa
WOJEWODA PODKARPACKI

eprasa.pl eb1c8fbccf



FOT. ARCHIWUM RODZINY TOCKICH

Burmistrz Leska Adam Snarski (obok Maksia) i jego urzędnicy założyli teatr, a dochód z granych przez siebie spektakli przeznaczyli na pomoc chłopcu

dziecka - wyznaje Anna Tocka. Mocno wierzy w to, że operacja uda się i syn będzie mógł zagrać w ukochaną piłkę nożną.

Maksymilian daje siły rodzicom

8-letni Maksymilian jest jedynym i długo wyczekiwanym dzieckiem państwa Tockich. „Przez cały okres ciąży, a także po narodzinach, żadne wyniki badań nie wskazywały na to, że nasz syn może być tak poważnie chory. O jego chorobie dowiedzieliśmy się zupełnie przypadkowo. Podczas pobytu w szpitalu związanego z infekcją Maksa, zostały wykonane rutynowe badania, których wyniki okazały się mocno niepokojące. Zalecone później badania genetyczne potwierdziły tę straszną chorobę…" - piszą rodzice na stronie fundacji siepomaga.pl, na której w październiku 2025 roku założyli zbiórkę na pomoc synkowi.

Gdy mama Maksia dowiedziała się, że jej synek jest poważnie chory, zrezygnowała z pracy, by poświęcić mu więcej czasu (mąż pracuje w branży budowlanej). W tej chorobie ważne jest, by utrzymać sprawność fizyczną w celu zachowania mięśni. Kilka razy w tygodniu chłopiec ma zajęcia rehabilitacyjne i fizjoterapeutyczne, rodzice zabierają go też na basen. Mało tego, także w domu trzeba z nim codziennie ćwiczyć.

Od założenia zbiórki w 2025 roku życie rodziny radykalnie się zmieniło. Wszyscy włączyli się w gminie Lesko i w innych miejscowościach w organizowanie pikników i innych wydarzeń. Rozdzwoniły się telefony, Toccy zaczęli jeździć na różne spotkania i współorganizować imprezy, pomagali nawet piec ciasta.

Społeczna mobilizacja w Bieszczadach

Największym pomocowym wydarzeniem w Bieszczadach okazał się styczniowy koncert w Lesku „Bieszczady dla Maksa na MAXA", na którym udało zebrać się ok. 230 tys. zł. W organizację koncertu było zaangażowanych mnóstwo ludzi. Odbywały się też mniejsze koncerty w Bieszczadzkim Domu Kultury w Lesku, pikniki charytatywne w wielu miejscowościach.

Historia Maksa zainspirowała burmistrza Leska Adama Snarskiego i jego urzędników do założenia nieprofesjonalnego Teatru Urzędowego bez Renomy. Swój prywatny czas poświęcili na próby i wystawienie napisanej przez siebie sztuki zatytułowanej „GEN:END". Zagrała w niej m.in. Katarzyna Dudzińska.

- Stworzyliśmy offowy, plastyczny spektakl z pytaniami, kto decyduje o tym, że jedni rodzą się zdrowi, inni chorzy, że jedni rodzą się w rodzinach bogatych, a inni w biednych. W Lesku wystawiliśmy spektakl trzy razy przy pełnej sali i zebraliśmy ponad 18 tys. zł - mówi.

Maks marzy o spotkaniu z Robertem Lewandowskim

Maks uczy się w Zespole Szkół Samorządowych w Hoczwi, gdzie jest życzliwie traktowany. Gdy nie mógł zagrać na WF w piłkę nożną, nauczyciel wręczył mu gwizdek, by sędziował. W ten sposób wyróżnił chłopca, który jest wielkim fanem piłki. Uwielbia Roberta Lewandowskiego, jego marzeniem jest spotkać się z idolem.

- Jak większość chłopców w tym wieku marzy, by zostać piłkarzem. Cały pokój ma obwieszony plakatami, zbiera karty piłkarskie, piłki, na prezent zawsze coś dostaje związanego z tą dyscypliną sportu. Jest w tym wszystkim radosnym dzieckiem. Gdy spotyka się ze starszym o rok kuzynem, przebierają się w stroje piłkarskie i razem kopią piłkę, Maksiu oczywiście na tyle, na ile może, bo zna swoje ograniczenia - opowiada mama.

Maks należy do scholi kościelnej. Starsi członkowie scholi traktują go jak młodszego brata. Ładnie też czyta i inteligentnie wyraża się.

- Naszym rytuałem było czytanie Maksiowi przed snem jakiejś książki. Stąd ma bogatą biblioteczkę. Cały czas dostaje nowe książki, wybór od nowinek kosmicznych, technologicznych, po historię. Bardzo lubi historię Polski, od Piastów po współczesną. Czyta też książki o historii świata i geograficzne. Pomagamy mu w rozwoju jego pasji.

Rodzice Maksa czerpią siły do walki o jego zdrowie od niego samego.

- Cieszymy się, że znalazł się ktoś taki jak Piotrek Hancke i że mu się udało. Nie zapominamy też o mieszkańcach Bieszczadów, którzy pokazali wielkie serca. Nie było instytucji i człowieka, które by nie dołożyły swoje cegiełki, były challenge strażackie, także koła gospodyń wiejskich organizowały swoje wydarzenia. Przyjdzie jeszcze czas, by podziękować tym wszystkim ludziom. Dzięki nim zgromadziliśmy w Bieszczadach aż 3 mln złotych - mówi Anna Tocka.

Choroba dotyka głównie chłopców

Dr n. med. Katarzyna Skórka pisze na chorobyrzadkie.edu.pl, że dystrofia mięśniowa Duchenne'a (DMD) to choroba genetyczna charakteryzująca się postępującą degeneracją i osłabieniem mięśni z powodu zmian w białku zwanym dystrofiną. Choroba dotyka głównie chłopców, ale w rzadkich przypadkach może wystąpić u dziewczynek. W ostatnich latach pojawiły się nowe terapie działające przyczynowo. To Ataluren oraz Exondys 51, które działają na poziomie mRNA i mają na celu poprawienie produkcji dystrofiny, co jest kluczowe w leczeniu dystrofii mięśniowej Duchenne'a. W Polsce Ataluren nie jest refundowany. Jak pisze doktor Katarzyna Skórka, wciąż trwają badania nad nowymi terapiami genowymi.

REKLAMA 0011531197



eprasa.pl eb1c8fbccf

Polska
Piątek–niedziela, 29–31.05.2026

EVA MINGE: TAK SIĘ ŁOWI DZIEWCZYNY. NIE ZAWSZE PRZEMOCĄ, CZASEM ILUZJĄ SPEŁNIENIA MARZEŃ

Epstein to wierzchołek góry lodowej – takich ludzi jest więcej. O mrocznej stronie modelingu, agencjach produkujących pozory kariery i dziewczynach łowionych obietnicą lepszego życia mówi Eva Minge

Anita Czupryn

Pani książka „Dziewczyna z wyspy miliardera" od razu wzbudziła we mnie jedno skojarzenie: afera Epsteina. To dobry kierunek?
W zasadzie tak.

Kilka miesięcy temu media informowały, że Pani nazwisko pojawiło się w korespondencji dotyczącej Epsteina. Ta książka jest odpowiedzią? Pomyślała Pani wtedy: „Wreszcie mogę opowiedzieć, co wiem"?
W pewnym sensie moja książka jest odpowiedzią. Choć trzeba precyzyjnie wyjaśnić, że w korespondencji Epsteina nie chodziło o moje nazwisko, tylko o mój pokaz. Z biznesowego punktu widzenia oznaczało to, że wydarzenie, które organizowaliśmy w Nowym Jorku, było uznawane za tak prestiżowe, że zaproponowano je Epsteinowi, który w tamtym czasie pojawiał się na listach gości najbardziej elitarnych wydarzeń. My Epsteina nie zapraszaliśmy. Ale jeśli mój pokaz w ramach nowojorskiego Mercedes-Benz Fashion Week znalazł się w takim obiegu, to znaczyło, że udało mi się zbudować rozpoznawalną markę. Śledziłam sprawę Epsteina i podobne mechanizmy, bo świat mody, zwłaszcza tej międzynarodowej, wiele mi pokazał. Przez te wszystkie lata widziałam różne zjawiska, układy i pułapki. Opisuję je w moich książkach. Epstein jest tylko wierzchołkiem góry lodowej - takich ludzi jest więcej. W pamięci mocno utkwiła mi sytuacja, kiedy podczas jednego z naszych pobytów w Cannes, gdzie pracowaliśmy z modelkami w showroomie i ubieraliśmy gwiazdy, zostaliśmy zaproszeni na statek. Dziś wiem, że był tam Epstein. Gdybym się tam wtedy znalazła, nie miałabym pojęcia, kim naprawdę jest ten człowiek. Wiele osób, które w taki czy inny sposób znalazły się w jego otoczeniu, zapłaciło później ogromną cenę wizerunkową. A naprawdę wiele z nich go nie znało.

Pani z tego zaproszenia nie skorzystała. Nie była też na jego wyspie?
Nie. Zawsze stroniłam od takich sytuacji. Nigdy się nie zgadzałam, żeby moje modelki zabierano w jakiekolwiek podejrzane miejsca. Bardzo pilnowałam, żeby dziewczyny miały poczucie bezpieczeństwa. Piszę o tym w wielu moich książkach, może najmocniej w „Ubieram arabskie księżniczki". Oczywiście nie wszystko zależało ode mnie. Agencje modelek na świecie są różne, także te najbardziej prestiżowe. Nie chcę dziś przywoływać nazw, bo nie śledziłam do końca, jak prawnie zakończyły się poszczególne sprawy, ale były afery dotyczące agencji, którym zarzucano, że poza dostarczaniem modelek dostarczały także dziewczyny do towarzystwa. I to nie zawsze wygląda tak jak wyobrażają sobie ludzie z zewnątrz. W mojej książce „Gra w ludzi" pokazuję, jak się hoduje modelki czy celebrytki nie po to, żeby zrobiły wielką karierę w modzie, ale po to, żeby wykorzystać ich ciało, urodę, młodość i głód sukcesu. Chcę jednak bardzo jasno powiedzieć: dziewczyny, które robią prawdziwie wielką karierę w świecie mody, nie muszą kupczyć ciałem. I nie mogą tego robić, jeśli chcą funkcjonować na najwyższym poziomie. Modelka nie znaczy dziewczyna do towarzystwa. To bardzo krzywdzący stereotyp. Ale istnieją mechanizmy, w których przy okazji różnych wydarzeń pojawiają się klienci gotowi zapłacić ogromne pieniądze za bardzo młode dziewczyny, zwłaszcza za takie, które nie są jeszcze doświadczone. O tym właśnie piszę w „Dziewczynie z wyspy miliardera".

Kiedy czytałam Pani książkę, przypomniały mi się „Wyznania gejszy" Arthura Goldena. Tam też pojawia się motyw ceny płaconej za dziewictwo młodej dziewczyny. Tyle że tamten świat jest odległy, dotyczy początku XX wieku. Pani mówi: to wcale nie jest przeszłość?
Oczywiście, że nie. To dzieje się na całym świecie i dzieje się cały czas. Za dziewictwo się płaci. Istnieją środowiska, które dostarczają bardzo zamożnym mężczyznom dziewice, czasem za zgodą tych dziewczyn, czasem także za zgodą ich matek. Takie grupy funkcjonują także w Warszawie. To, co czytaliśmy w książkach albo oglądaliśmy w filmach, nie jest zamkniętą historią z odległego świata. To się dzieje naprawdę i od lat.

W tej licytacji, kto zapłaci więcej za dziewictwo, którą Pani opisuje, najbardziej wstrząsające jest to, że ani czternastoletnia dziewczyna, ani jej matka nie wiedzą, że jest przedmiotem tej licytacji. To dzieje się poza nimi.
I dlatego ta historia jest tak brutalna. W książce próbuję w jakimś sensie bronić matki, choć to ona doprowadza córkę do sytuacji skrajnie niebezpiecznej. Zostawiam czytelnikowi ocenę: czy to było marzenie córki, czy jednak niespełnione marzenie matki? Widziałam wiele takich sytuacji. Przychodzą do mnie rodzice z jedenasto-, dwunastoletnimi dziewczynkami i mówią: „Pani Ewo, proszę zobaczyć, czy ona nadaje się do modelingu". Przychodzą matki, przychodzą ojcowie. Czasem widać, że dziecko jeszcze niczego nie chce, ale rodzic już zobaczył w nim szansę na wielki świat. Raz, drugi, trzeci odradzałam komuś tę drogę. A potem dowiadywałam się, że mnie nie posłuchano. Dziewczynka zapłaciła bardzo wysoką cenę za to, że zbyt wcześnie weszła w pewne struktury. Myślę, że rodzice do dziś nie znają całej prawdy. Minęło wiele lat, a ona nadal ma problemy psychiczne. Zdarzało się też, że rodzice przychodzili do mnie i wprost pytali, czy sto albo dwieście tysięcy złotych wystarczy, żeby zainwestować w karierę córki. Pytałam: „Ale komu państwo chcecie zapłacić?". Odpowiadali: „No nie wiemy, może agencji, może komuś, kto ją odkryje, kto powie, że ona ma talent". W „Dziewczynie z wyspy miliardera" opisuję biedną kobietę i jej córkę. Matkę, która sama niewiele dostała od życia i robi wszystko, żeby zapewnić dziecku lepszy start. Chce, żeby córka miała więcej niż ona. Żeby wyrwała się z miejsca, w którym przyszło im żyć. I nagle wielki świat staje przed nimi otworem. Ktoś mówi, że córka jest wyjątkowa, że zrobi wielką karierę. A przy okazji okazuje się, że matka też ma swoją szansę. Jest wciąż młodą, trzydziestoparoletnią kobietą, urodziła córkę bardzo wcześnie, sama ma własne marzenia. I nagle obie dostają rzeczy jak z filmu: luksus, podróże, ubrania, uwagę, obietnicę innego życia. Trudno się tym nie zachłysnąć, trudno nie zaufać.

Właśnie o to chcę zapytać. W Pani książce luksus działa jak przynęta. Apartament z widokiem na Central Park, kosmetyki, telefony, markowe ubrania. Czy luksus może być formą przemocy?
Tak, bo jeśli człowiek nigdy czegoś nie spróbował, nie zna tego smaku. Nie wie, za czym mógłby tęsknić. Ale kiedy raz zobaczy, że można żyć inaczej, że ten świat jest tak blisko i pozornie tak łatwo dostępny, bardzo trudno mu potem z tego zrezygnować. Dzisiaj mężczyźni, którzy mają wielkie pieniądze, nie szukają po prostu pięknych dziewczyn. Pięknych dziewczyn jest dużo. Wystarczy pójść do dobrego klubu albo poprosić kogoś o katalog modelek. Oni szukają kogoś, kto ma aurę wyjątkowości: influencerki, celebrytki, gwiazdy, modelki, piosenkarki. Ta dziewczyna nie musi mieć nawet prawdziwej kariery. Wystarczy, że raz pojawi się na festiwalu, zaśpiewa jedną piosenkę, nawet z playbacku, wystąpi w odpowiednim miejscu, zrobi jedno czy dwa dobre zdjęcia. I nagle można ją sprzedać jako „twarz", jako „modelkę", jako kogoś z wielkiego świata.

Tak się łowi dziewczyny?
Tak. Nie zawsze przemocą. Czasem iluzją, że spełnia się jej marzenia. Żyjemy w czasach, które karmią się obrazem. Dlatego ja nie pokazuję na Instagramie luksusu. Nie pokazuję, jak ląduję helikopterem, czy innych sytuacji, w których siłą rzeczy uczestniczę. Nie dlatego, że ich nie ma, tylko dlatego, że nie chcę budować fałszywej normy społecznej. Widząc ten high life, narty w Aspen, prywatne samoloty, jachty, drogie restauracje, młode dziewczyny zaczynają myśleć, że tak wygląda normalne życie. I dziewczyna, która ma potencjał, urodę, ambicję, zaczyna

eprasa.pl eb1c8fbccf

do tego dążyć. Wykorzystują to mężczyźni, czasem agencje, czasem kobiety werbujące inne kobiety. Mówią: „Możesz tak żyć. Pojedziesz na jacht. Będziesz dziewczyną do towarzystwa. Nic nadzwyczajnego się nie wydarzy. Poznasz fantastycznych ludzi". Na początku rzeczywiście może nie wydarzyć się nic drastycznego. Mężczyzna, który poluje, nawet jeśli zapłacił za tę przyjemność, potrafi być miły, szarmancki, czarujący. Dziewczyna czuje się wybrana. Jest niedoświadczona, widzi koleżanki, które żyją wspaniale, i myśli: „Mnie też się udało. Będę jak one". Ten pierwszy krok robi czasem dla przysłowiowej torebki. Albo po to, żeby znaleźć się na pięknym jachcie. Pojechać na wakacje, przejechać się drogim samochodem, pójść na zakupy na Via Monte Napoleone w Mediolanie czy Avenue Montaigne w Paryżu. Dostać buty, perfumy, sukienkę. Często nie ma świadomości, że właśnie weszła w mechanizm, z którego bardzo trudno będzie jej wyjść. Mówi sobie: „Zrobię to raz". Albo myśli: „On się naprawdę we mnie zakochał". I to jest w tych procederach najokrutniejsze. Dziewczyny rzadko są wabione brutalnym komunikatem: „Pójdziesz z kimś do łóżka, dostaniesz pięć tysięcy euro i się ustawisz". To zwykle nie tak wygląda. One słyszą: „Jesteś wyjątkowa. Jesteś najpiękniejsza. Nie musisz być z biedakiem. Poznasz fantastycznego mężczyznę, fantastycznych ludzi. Zrobisz dobrą kampanię reklamową. Na tej kolacji będzie właściciel wielkiej międzynarodowej firmy. Broker. Ktoś, kto może ci zapewnić karierę". A kiedy już popełnią pierwszy błąd, bardzo często są materiały, które mają sprawić, żeby nigdy z tego układu nie wyszły. Nagrania, zdjęcia, dokumenty, dowody. Coś, czym można je szantażować. Po to powstały moje książki. Żeby pokazać cenę, którą płaci się po latach za wejście do tego świata.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Eva Minge: Po to powstały moje książki. Żeby pokazać cenę, którą płaci się po latach za wejście do tego świata

Swoje książki opiera Pani na faktach. Czy „Dziewczyna z wyspy miliardera" zawiera wątki autobiograficzne?
Nie opisuję tu zdarzeń, które mnie dotyczyły. To prawdziwa historia modelki, którą poznałam. Później poznałam także jej mamę. Obiecałam im pełną anonimowość. Czasami czuję się kimś w rodzaju pośredniczki, może misjonarki. Zdarza się, że ktoś po przeczytaniu mojej książki odzywa się do mnie na Instagramie i pisze: „Muszę pani opowiedzieć swoją historię". Tak było z „Grą w ludzi", a kobieta, która jest pierwowzorem bohaterki Anny, do dziś jest moją przyjaciółką. Tak powstały też książki „Agencja" i „Córka agencji", kiedy napisała do mnie kobieta, że potrzebuje spowiedzi. Mieszka za granicą, spotkałyśmy się poza Polską. Opowiedziała mi swoją historię. Zmodyfikowałam ją literacko, żeby nie można było tej osoby rozpoznać nawet w jej dawnym środowisku. Ale ona bardzo chciała, żeby ludzie zobaczyli, jak to działa. Dlaczego kobiety wchodzą w takie układy, co nimi kieruje, jak trudno potem z tego wyjść. Mówiła o sobie i bardzo źle, i bardzo dobrze. Źle, bo była częścią tego świata. Dobrze, bo twierdziła, że niektórym dziewczynom pozwalała wyjść ze struktury i pomagała im przejść do innego życia. Nie musiały już być tylko dziewczynami do towarzystwa. Czasem, za ich zgodą, wychowywała je na partnerki czy żony miliarderów. Ale kiedy nie chciały dalej w tym uczestniczyć, pomagała im odejść. Jednak większość dziewczyn nie ma takiej możliwości.

W jaki sposób agencje budują dziewczynom pozory kariery? Robią z dziewczyny „modelkę", choć wcale nie o modeling chodzi.
Zdarzało mi się, że agencja informowała mnie: „Ta modelka na pokaz kosztuje tysiąc euro, ta pięć tysięcy, ta dziesięć tysięcy, a tę możesz wziąć za darmo, bo dopiero robimy jej twarz. Chcemy, żeby chodziła w dobrych pokazach". Na początku się zgadzałam. Myślałam: fajna dziewczyna, początkująca, dobrze chodzi, dobrze wygląda, agencja chce ją wypromować. Ale z czasem zauważyłam pewną prawidłowość. Modelki mają określoną fizjonomię, wzrost, proporcje. Tymczasem niektóre z tych dziewczyn były bardziej „miss" niż modelkami wybiegowymi. Często nie miały odpowiedniego wzrostu, miały bardziej kobiece kształty. Ale ja lubię pokazywać różnorodność. Pracuję z modelkami w różnym wieku, z różnymi typami urody, z modelkami plus size, z osobami z niepełnosprawnością. Więc czasem mówiłam: dobrze, zaproszę taką modelkę do mojego pokazu. Potem okazywało się, że taka dziewczyna robi dwa, trzy pokazy i znika. Nie ma jej w katalogu. Nie robi kampanii, nie rozwija kariery. Chodziło o to, aby klientowi została pokazana jako modelka. Aby można było powiedzieć: „To dziewczyna, która chodziła w paryskich pokazach". I on już nie bierze przypadkowej dziewczyny, on bierze „modelkę". Prawdziwe modelki, które robią karierę w modelingu, w czymś takim nie uczestniczą. Świat jest za mały. Gdyby dziewczyna raz czy drugi poszła z bardzo bogatym mężczyzną, mogłoby się zdarzyć, że on zobaczyłby ją potem w kampanii i zadzwonił do właściciela marki z pytaniem: „Prostytutkę bierzesz na pokazy?". Ten świat jest brutalny. Opisywałam w moich książkach sytuacje, w których agencje przygotowywały dziewczyny nie tylko do bycia dziewczynami do towarzystwa, ale także partnerkami czy żonami milionerów. Ktoś zamożny, po rozczarowaniach w miłości, uznawał, że chce mieć kobietę skrojoną na miarę. Agencja miała ją przygotować, wychować, nauczyć funkcjonowania w odpowiednim świecie. To wszystko brzmi jak fikcja, ale niestety jest rzeczywistością.

Wyspa miliardera z Pani książki jest wyspą Epsteina?
W książce opisałam konkretne miejsca, ulice, widać pewne zbieżności. Chciałabym jednak, żeby czytelnik sam ocenił, czy to jest wyspa Epsteina, czy nie. Natomiast takich wysp, takich enklaw, takich miejsc jest znacznie więcej. Nie zawsze jest to jedna konkretna wyspa należąca do jednego człowieka. Zdarza się, że grupa bardzo bogatych mężczyzn umawia się i wynajmuje na jakiś czas miejsce piękne, niedostępne, bardzo drogie. I tam odbywają się imprezy, zjeżdżają ludzie z całego świata. To są ludzie znudzeni, szukający ekstremalnych podniet seksualnych. Czasem po prostu zwyrodnialcy, a czasem pedofile. To, co mnie uderzyło, kiedy przyglądałam się tym zjawiskom, to pewien rodzaj społecznego przyzwolenia. Wykorzystywanie bardzo młodych dziewczyn bywa traktowane z przerażającą obojętnością. Czternasto-, piętnasto-, szesnastolatki są coraz częściej postrzegane jak dorosłe kobiety. Dziś naprawdę czasem trudno na pierwszy rzut oka rozpoznać, że dziewczyna ma czternaście lat. Ale to niczego nie usprawiedliwia. Problem w tym, że w hotelach, luksusowych enklawach, wśród obsługi często nikt nie reaguje. Ludzie nie są tym drastycznie poruszeni. Zwłaszcza jeśli dziewczyna sama przyszła, sama chciała, dobrowolnie w tym uczestniczyła. Tylko czy można mówić o świadomej dobrowolności, kiedy ktoś ma czternaście albo piętnaście lat?

Prywatna wyspa w Pani książce wydaje się też metaforą świata elit. Miejsca, do którego zwykli ludzie nie mają dostępu nawet jako świadkowie.
Tak. W takich miejscach wszystko jest odcięte. Na tego typu imprezach często nie wolno mieć telefonów. A nawet jeśli ktoś ma telefon, nie działa wi-fi, są urządzenia zakłócające sygnał, nie wolno robić zdjęć. Czy to znaczy, że nie ma kamer? Nie. Wszystko jest monitorowane, ale nie po to, żeby chronić ofiary. Raczej po to, żeby chronić system.

Skąd Pani ma wiedzę o tych mechanizmach?
Bardzo dużo czytam, również akta, sprawdzam strzępki informacji. Ale mam też to szczęście, że modelki mi ufają. Latami pracuję z wieloma dziewczynami. Jeśli ktoś czuje się u mnie bezpiecznie, widzi, że nie traktuję go jak przedmiotu, zaczyna mówić. Dziewczyny opowiadają mi o propozycjach, które dostają. O zaproszeniach, które brzmią niewinnie. O sytuacjach, w których ktoś obiecuje im karierę, kontrakt, wyjazd, a pod spodem kryje się zupełnie inna intencja.

Ujawnia Pani, jak działa szara strefa modelingu, kim są sprzedawcy marzeń, jak przebiegają mechanizmy werbunku. Czy ktoś próbował Panią uciszyć?
Tak. Przy mojej pierwszej książce, „Gra w ludzi", dostałam kilka nieprzyjemnych wiadomości, były też telefony. Ale ja się takich rzeczy nie boję. Zresztą jedna z największych światowych agencji poniosła później konsekwencje. Konsekwencje poniosła też bardzo znana marka bieliźniana, którą opisuję w książce, ale wiele osób domyśli się, o którą chodzi. Dzisiaj ta marka próbuje wstać z kolan, ma nowego właściciela. A przecież jej historia także mocno łączyła się ze światem Epsteina. Wystarczy prześledzić, skąd brały się jego pierwsze pieniądze i jakie miał kontakty. Tajemnicą poliszynela było kiedyś, że za bilet na pokazy tej marki trzeba było zapłacić ogromne pieniądze. To były pokazy kultowe, bardzo pożądane towarzysko, ale ja dziś patrzę na to zupełnie inaczej niż kiedyś. Dziewczyny wychodziły w samej bieliźnie, prezentowane niemal jak trofea. To był pokaz ciał, nie tylko bielizny. Z perspektywy czasu, w związku z doświadczeniem, jakie mam, i w związku z tym, co zobaczyłam i opisałam w książkach, stałam się przeciwniczką takich form prezentowania kobiet. Także konkursów miss w wydaniu, w którym młode dziewczyny wychodzą w strojach kąpielowych. Jako feministki walczymy o to, żeby kobiety nie były traktowane jak ciało, jak mięso, jak obiekt do oglądania. A jednocześnie ustawiamy je na scenie i każemy zrobić krok w lewo, krok w prawo, uśmiech, pozę „dzbanuszek", jak to nazywa moja przyjaciółka. Pytam: czemu ma to służyć? Jeśli już mają istnieć konkursy miss, niech za tym stoi coś więcej: wiedza, osobowość, dokonania, talent, konkretna historia, nie ciało wystawione do oceny. Bo w takiej formie te konkursy wydają mi się po prostu nieludzkie.

Spotkała Pani kobiety, które same kiedyś zostały skrzywdzone, a potem wprowadzały młodsze dziewczyny w ten sam proceder?
Spotkałam. I to jest dla mnie chyba jeden z najbardziej przerażających elementów tej historii. Jestem w stanie zrozumieć mechanizmy męskiej żądzy, chęci zdobycia, potrzeby zaspokojenia. Nie usprawiedliwiam ich, ale rozumiem, jakie instynkty mogą za tym stać. Natomiast dużo trudniej jest mi zrozumieć kobiety, które werbują inne kobiety. Kobiety, które oswajają młode dziewczyny z tym światem, prowadzą je za rękę do miejsca, z którego potem bardzo trudno wyjść. Przecież prawa ręka Epsteina też była kobietą. I to pytanie wraca do mnie najmocniej: jak kobieta może zrobić coś takiego drugiej kobiecie? W „Dziewczynie z wyspy miliardera" mówię do rodziców: nie pchajcie małych dzieci w tego typu kariery. To nie jest ich czas. Dzieciństwo nie służy robieniu kariery, tylko temu,

dokończenie na str. 22

eprasa.pl eb1c8fbccf

dokończenie ze str. 21

żeby człowiek mógł powoli zrozumieć, kim jest i kim chce być. Świat show-biznesu pokazuje, jak wysoką cenę można za to zapłacić, nawet bez prostytucji i bez tak drastycznych historii. Widzimy, co stało się z Britney Spears, która była dzieckiem show-biznesu. Widzimy też polskie dzieci, dziś już dorosłe, które zaczynają mówić o depresji, przeciążeniu, samotności, utracie siebie. Dziecko nie powinno być projektem kariery dorosłych, nawet jeśli jest piękne, zdolne, wyjątkowe. A może właśnie wtedy trzeba je chronić jeszcze bardziej.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Eva Minge: Nigdy się nie zgadzałam, żeby moje modelki zabierano w jakiekolwiek podejrzane miejsca

Akurat rozmawiamy w Dzień Matki, a ja, kiedy czytałam Pani książkę, pomyślałam, że pewnie miała Pani dobrą relację ze swoją mamą. To się czuje.
Miałam cudowną relację z mamą. Była moją największą przyjaciółką. Urodziła mnie, kiedy miała dwadzieścia lat, więc była bardzo młodą mamą. W ogóle pochodzę z „dogrzanej" rodziny. Tak o tym mówię. To rodzina wielopokoleniowa, ciepła, silna. Stąd jest moja siła. Mama była bardzo mądrą i silną kobietą. To ona nauczyła mnie, że nie ma granic, których nie można przekroczyć, jeśli człowiek wie, kim jest i ma za sobą swoje korzenie.

Jaki był Pani dom rodzinny?
Ciepły. Artystyczny. To nie był dom, który jednoczył się przy stole. Nie zawsze siadaliśmy razem do śniadań czy obiadów, bo rodzice pracowali, a w niedzielę często chodziło się na obiad do babci. Nasz dom bardziej jednoczył się rozmową. Fotelami w pokoju. Sztalugami. Książkami.
W domu było mnóstwo książek. To był dom, w którym się czytało. Kiedy rodzice zobaczyli, że czytam z latarką pod kołdrą, nie zabronili mi czytać po nocach, tylko kupili lampkę przy łóżku. Mogłam czytać tyle, ile potrzebowałam. Mogłam też uczyć się po nocach. A jeśli po kilku intensywnych dniach byłam tak zmęczona, że nie dawałam rady iść do szkoły, nie musiałam uciekać na wagary. Mówiłam: „Tato, nie pójdę dziś do szkoły, muszę się wyspać". Rodzice budzili mnie koło piętnastej. Rozumieli, że organizm czasem musi się zregenerować. Mama była plastyczką, choć nie wykonywała tego zawodu. Cały czas jednak była blisko sztuki, zajmowała się nią po godzinach, dla siebie, trochę rzeźbiła. Przez wiele lat prowadziła sekretariat w dużym przedsiębiorstwie handlu chemikaliami w Szczecinku. Później zrealizowała swoje marzenie, a właściwie ja pomogłam jej je zrealizować. Kupiłam sklep, a ona urządziła sobie piękny salon i sprzedawała rzeczy, które projektowała jej córka. Tata też malował z pasji, interesował się kulturą. Pracował jako dyrektor zakładu budżetowego kultury i oświaty. Całe życie zajmował się kulturą, był wykładowcą, pedagogiem, kulturoznawcą. Nie żyłam w bogatym domu. Może nie zawsze były fajne ciuchy, może lodówka nie była pełna smakołyków, ale jedzenie zawsze było. Było ciepło, rozmowa, sztuka, książki i zgoda na to, żebym była sobą.

A Pani jaką była dziewczynką?
Zawsze miałam własne zdanie. Byłam bardzo dobrą uczennicą: wtedy nie było jeszcze szóstek, więc miałam średnią 5,0, a zachowanie najczęściej poprawne. Nie wzorowe, bo dużo dyskutowałam. Miałam w sobie bunt, ale nie destrukcyjny. Raczej potrzebę rozmowy, sprawdzania, czy świat naprawdę musi wyglądać tak jak ktoś mi mówi. Przyjaźniłam się z najsłabszymi, ze „spadochroniarzami", jak się wtedy mówiło. Pisałam klasówki z matematyki osobom, które siedziały z przodu i z tyłu. Byłam żywa, energiczna, ale rodzice byli o mnie spokojni, bo miałam silny kręgosłup moralny. Nigdy nie paliłam, nigdy nie piłam. Do dziś nie palę i nie piję. Oczywiście był okres dojrzewania, trzaskanie drzwiami, kłótnie. Czasem biegłam przez korytarz do babci, do mieszkania obok. Babcia Irenka była dla mnie bardzo ważną kobietą, równie ważną jak mama. Ważna była też siostra mamy, którą nazywaliśmy Lalką. Mam takie zdjęcie: siedzę ja, mała dziewczynka. Za mną mama, dalej Lalka, za nią babcia. Siedzimy jedna za drugą na ławce. Cztery pokolenia kobiet. To zdjęcie bardzo wiele o mnie mówi.

Była Pani jedynaczką?
Niestety, tak. Mama nie mogła mieć więcej dzieci. Ale nie byłam rozpuszczoną jedynaczką, bo wychowywałam się w dużej rodzinie. Bardzo ważne było dla mnie moje kuzynostwo, wujkowie, ciocie, jedna babcia, druga babcia. Babcia od strony taty miała pięcioro dzieci, więc wokół mnie było mnóstwo wujków, cioć, pracioć, babć ciotecznych. Miałam, myślę, bardzo szczęśliwe dzieciństwo na prowincji, wśród przyrody. Rodzinne wakacje spędzaliśmy pod namiotami. To było jeszcze za komuny, jechało nas kilkadziesiąt osób; było wspólne gotowanie, wspólne ogniska, wspieranie się, bycie razem. I to na pewno ukształtowało moją wyobraźnię.

Gdzie się Pani wychowywała?
Na Pojezierzu Drawskim, w Szczecinku. Mój ojciec nauczył mnie rozsądku i tego, żeby się nie poddawać. Jeśli coś się nie udało, trzeba było to przeanalizować i spróbować jeszcze raz. Moja mama z kolei jest odpowiedzialna za to, żebym w swoim życiu nie odczuwała żadnych granic, w stylu: „Tego nie wolno", „Tam nie możesz", „To nie dla ciebie". Mama, babcie, ciocia, kochane kobiety z mojej rodziny nauczyły mnie, że człowieka nie definiuje miejsce urodzenia, stan majątkowy ani pozycja społeczna. Definiują go korzenie, wsparcie i odwaga, żeby wyjść poza to, co znane.

Stały za Panią silne kobiety.
To prawda. One wiedziały, że jeśli ktoś chce wejść w nieznany, może nawet niebezpieczny świat, musi mieć dokąd wracać. A ja byłam pionierką. Przecierałam szlaki. Jeździłam do Włoch, do Paryża, Mediolanu, Nowego Jorku, Moskwy. Robiłam rzeczy, których nikt wcześniej nie robił na taką skalę. To, czego dokonywałam wtedy w modzie, było dla dziewczyny z postkomunistycznego kraju czymś niemal kosmicznym. Trochę było to jak wejście do paszczy lwa. Ale zawsze wiedziałam, że tam, gdzie są moje korzenie, tam jest moje wsparcie. Czasem życie podcinało mi jakąś gałąź, czasem nie dojrzał, czasem zostałam zraniona. Wtedy wracałam do domu rodzinnego.
Do mamy, taty, babci, cioci.
I oni tę poranioną roślinkę, jaką się czułam, podlewali, opiekowali się. Bywało, że wystarczył weekend, żebym znowu była w pełni sił i mogła rosnąć dalej. Wychowałam się na prowincji, studiowałam w Poznaniu, a potem świadomie przeniosłam się na wieś. Zdobywałam świat, mieszkając nie w Paryżu czy Nowym Jorku, ale właśnie poza centrum. I to mnie nigdy nie definiowało. Nie muszę mieszkać w Paryżu ani w Nowym Jorku. Jeśli człowiek wie, kim jest, może mieć wielki świat w sobie.

Nie musi Pani mieszkać w wielkim świecie, kiedy może w nim bywać.
Dwa lata mieszkałam w Mediolanie i to był jeden z najtrudniejszych okresów w moim życiu. Mieszkałam też w Rzymie i to był piękny czas, bo Rzym kocham. Ale Mediolan był dla mnie bardzo trudny. Podobnie Warszawa, w której mieszkałam rok. Nie odnajduję się w wielkich aglomeracjach. Muszę mieć las za oknem. Potrzebuję przyrody, przestrzeni, wiejskiego klimatu.

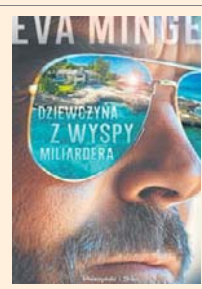
Czy po takiej książce, jak „Dziewczyna z wyspy miliardera", moda wciąż jest dla Pani piękna?
Moda jest piękna cały czas. Modeling potrzebuje pięknych modelek, ale też mądrych. Różnych. Nieoczywistych. Bardzo się cieszę, że moda coraz częściej sięga po dojrzałe modelki, po różne typy urody, różne ciała, różne historie. To jest piękne, bo my jako ludzie jesteśmy różni. W moich kolekcjach zawsze były rozmiary powyżej czterdziestki, czasem nawet pięćdziesiątki. W wielu domach mody w ogóle takich rozmiarów nie ma. A ja uważam, że każda kobieta jest piękna. Każda zasługuje na to, żeby być modelką własnego życia.
I żeby jej życie było sztuką.

Teraz przygotowuje się Pani do pokazu w Paryżu. Co to będzie?
8 lipca w Paryżu pokażę projekt, który będzie moim manifestem. Trochę przeciwko modzie rozumianej jako konsumpcja, sezonowość, presja kupowania. Nazwałam go „Siedem grzechów współczesnych". Chcę pokazać modę bliżej sztuki. Przygotowuję siedem wielkoformatowych, trzyipółmetrowych rzeźb mojego projektu. Jednym z grzechów będzie miłość, innym cnota - przewrotnie, bo żyjemy w czasach, w których wartości bardzo łatwo się odwracają. Na końcu pojawią się żywe modelki, które pokażą kolekcję inspirowaną moją sztuką. To będzie mój apel: żebyśmy wrócili do trwałych wartości. Żeby nie kupować jak zakupoholicy, nie zaśmiecać planety, nie wierzyć ślepo w to, co dyktują katalogi. Żebyśmy sami tworzyli modę i sztukę swojego życia.

Czy świat po Epsteinie czegoś się nauczył?
Moim zdaniem nic się nie zmieniło. Nadal istnieją ludzie tacy jak Epstein. Nadal istnieją takie wyspy. Nadal istnieje ten proceder. Co więcej, bardzo wiele osób byłoby nieszczęśliwych, gdyby ten świat przestał istnieć, bo zarabiają na nim ogromne pieniądze. Niektóre kobiety także.

Wie już Pani, o czym będzie następna książka?
Myślę, że to będzie moja najtrudniejsza książka. I że wstrząśnie zupełnie innym światem niż show-biznes. Nie będzie to książka związana z modą ani z celebryckim światem. Piszę ją od trzech lat, przy asyście dwóch prawników. Będzie dotyczyła polityki, służb i moich własnych, bardzo prywatnych przeżyć. Przy tej książce naprawdę zaczynam się bać.
W jakimś sensie już oglądam się za siebie.

KSIĄŻKA



Eva Minge, „Dziewczyna z wyspy miliardera", wyd. Prószyński i S-ka

eprasa.pl eb1c8fbccf

MATERIAŁ INFORMACYJNY LPP

0311479482

Sinsay rośnie blisko klientów. Moda, dom i wygodne zakupy coraz bliżej codzienności

Jeszcze niedawno po większe zakupy modowe jechało się do dużej galerii w większym mieście. Dziś marki chcą być bliżej tego, jak naprawdę żyją konsumenci.

Sinsay rozwija się właśnie w tym kierunku, łącząc przystępne ceny, szeroką ofertę dla całej rodziny oraz wygodę, jaką daje połączenie zakupów online i stacjonarnych w jedno spójne doświadczenie.



Marka, która jest częścią codzienności

Sinsay, należący do polskiej Grupy LPP, konsekwentnie buduje pozycję wokół jednego celu, aby być jak najbliżej codziennych potrzeb klientów. Nowoczesne trendy nie powinny być rezerwowane wyłącznie dla mieszkańców największych aglomeracji. Dziś w ofercie oprócz odzieży damskiej, męskiej i dziecięcej, znajdziemy produkty dla najmłodszych, kosmetyki, dekoracje czy wyposażenie wnętrz.

Jednym z najważniejszych kierunków rozwoju jest obecność w mniejszych miejscowościach i lokalnych parkach handlowych. Podjeżdżając po codzienne zakupy spożywcze czy odbierając paczkę, można wybrać się do sklepu obok. To przede wszystkim ogromna oszczędność czasu, nowoczesna oferta pojawia się tam, gdzie konsumenci naprawdę mieszkają i załatwiają swoje sprawy.

Polska marka na globalnym rynku

Rozwój Sinsay widać nie tylko w Polsce. Marka skutecznie konkuruje z globalnymi gigantami w europejskich metropoliach, takich jak Mediolan, Ateny czy Praga. W ostatnim czasie dynamicznie weszła również na nowe rynki poza Unią Europejską, a łączna liczba salonów przekroczyła już 2300.



Co ten globalny rozmach oznacza dla klienta w mniejszym polskim mieście? Skala działania pozwala firmie lepiej planować kolekcje, inwestować w technologie i optymalizować dostawy. Globalny rozwój przekłada się więc bezpośrednio na codzienne doświadczenia zakupowe w Polsce – niższe ceny, sprawniejsze dostawy i lepszą dostępność towaru.

Smart shopping i mocny model omnichannel

W dobie rosnących kosztów życia każdy szuka sposobów na rozsądne zakupy, wydawanie mniej, ale nikt nie chce przy tym rezygnować z dobrej jakości. To znajdują klienci w Sinsay. To modne ubrania, dodatki do domu czy artykuły dla dzieci, które mają tutaj ceny, które nie nadwyrężają domowego budżetu. Ponieważ marka działa na ogromną skalę i ma już ponad 2300 salonów, nie musi szukać kompromisów. Klient dostaje świetny, nowoczesny design, a w portfelu zostają realne pieniądze.

Współczesny konsument oczekuje też elastyczności, dlatego Sinsay rozwija model omnichannel, łączący świat online i offline. Wygodna aplikacja mobilna integruje te dwa środowiska, bo pozwala sprawdzić ofertę, zamówić produkt do wybranego salonu, a potem szybko go odebrać lub bezpłatnie zwrócić na miejscu w sklepie.

Gęsta sieć salonów stacjonarnych buduje dodatkowe zaufanie i poczucie bezpieczeństwa. W przeciwieństwie do zagranicznych platform działających wyłącznie w internecie, Sinsay zapewnia



klientom bezpośredni kontakt z obsługą, bezproblemowe przymierzanie oraz przejrzyste, europejskie procedury reklamacji. Jako część polskiej Grupy LPP, marka działa według restrykcyjnych norm UE, co gwarantuje pełną ochronę praw konsumenta. Każdy zakup wspiera też krajową gospodarkę i tworzy nowe miejsca pracy w powiązanych branżach.

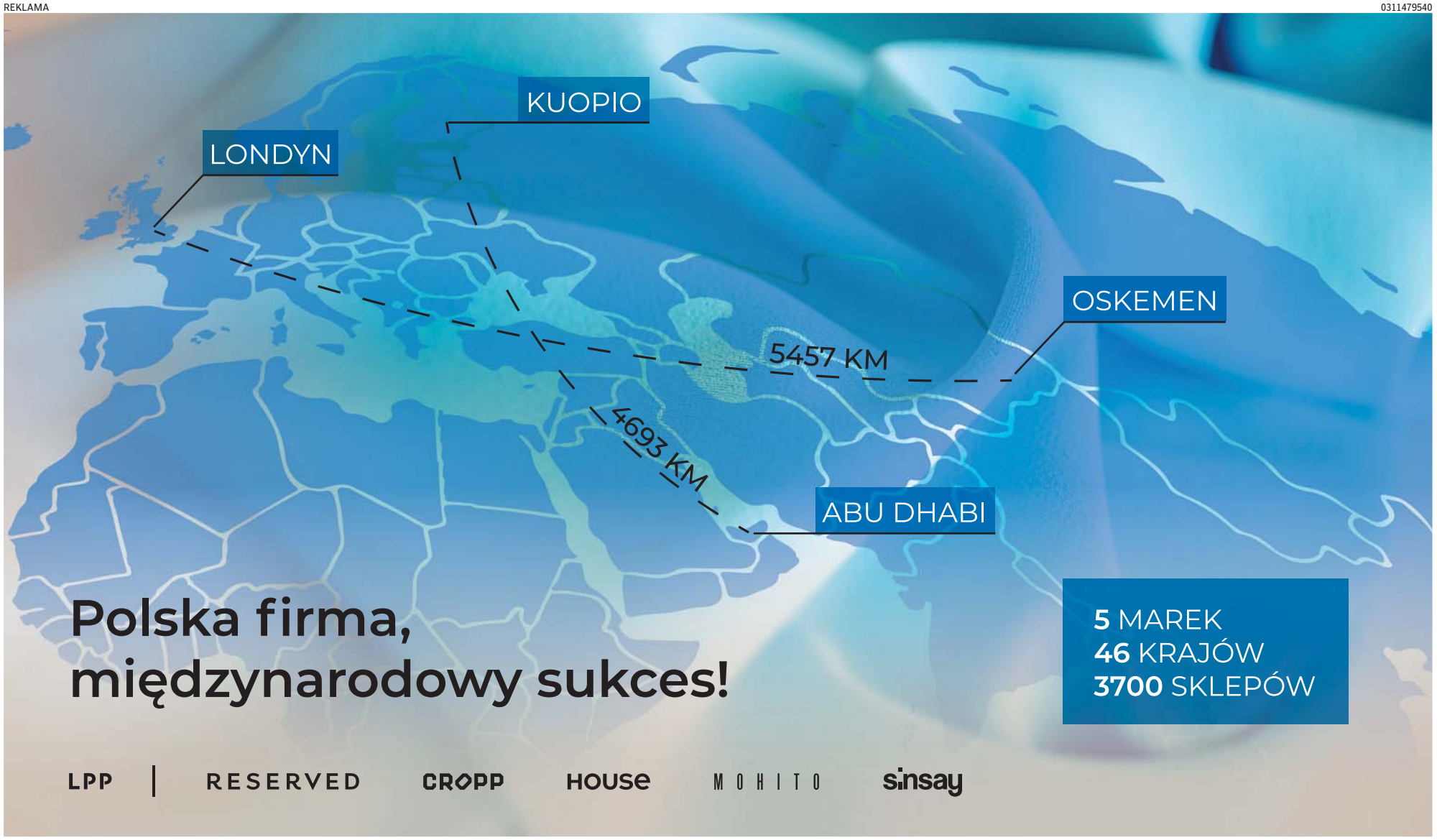
Marka, która rośnie razem z klientami

Sinsay udowadnia, że bliskość i codzienna wygoda to fundament nowoczesnego handlu. Idealnie tę filozofię obrazują słowa przedstawicieli marki:

– W Sinsay wierzymy, że nowoczesna moda powinna być na wyciągnięcie ręki – bez względu na to, czy mieszkasz w sercu Warszawy, czy w mniejszej miejscowości. Jesteśmy dumni, że jako polska marka wyznaczamy standardy, które podbijają Europę. Tworzymy przestrzeń, w której światowe trendy i wygoda zakupów łączą się w jedno. Wybierając Sinsay, dołączasz do milionów klientów na kilkudziesięciu zagranicznych rynkach, którzy pokochali nasz design. To ta sama jakość, ten sam styl i ta sama radość z zakupów, którą dostarczamy wszędzie – zawsze w przystępnej cenie i blisko potrzeb klientów.

REKLAMA

0311479540



eprasa.pl eb1c8fbccf

Polska
Piątek–niedziela, 29–31.05.2026

NA JEDNEJ NODZE, O KULACH, BIEGNĄ PO ZWYCIĘSTWO. NA BOISKU GRA DRUŻYNA, NIE NIEPEŁNOSPRAWNOŚĆ

Najpierw słychać stuk kul o murawę. Potem jest sprint, zwrot, strzał i upadek, po którym trzeba szybko wrócić do gry. Amp futbol w Warcie Poznań to sport dla ludzi po amputacjach i chorobach, ale nie gra się tu „mimo wszystko". Gra się po to, żeby wygrać, być w drużynie i znów poczuć, że ciało może więcej, niż długo się wydawało

Justyna Piasecka-Gabryel



FOT. WALDEMAR WYLEGALSKI

Amp futbol w Warcie Poznań rozwija się od 2019 roku. Klub prowadzi dziś zarówno męską, jak i kobiecą drużynę

Kiedy Ewa pierwszy raz stanęła na bramce, najbardziej zaskoczyło ją tempo. Nie sama piłka, nie boisko, nawet nie to, że będzie musiała nauczyć się upadać. Najpierw zobaczyła zawodników, którzy na jednej nodze, o kulach, biegli do akcji tak szybko, że trudno było pogodzić to z wcześniejszym wyobrażeniem o kulach.

- Zawsze kojarzyłam je z ostrożnym chodzeniem po urazie. A tutaj zobaczyłam, że można biec, prowadzić piłkę i jeszcze walczyć o akcję. Na żywo zrobiło to na mnie ogromne wrażenie - mówi.

Bramkarka musi iść do piłki

Ewa Cienkowska mieszka w Toruniu. W drużynie jest od niedawna. W marcu zaczęła trenować z Wartą Poznań, w maju trafiła do kadry. Wcześniej nie miała doświadczenia w sporcie drużynowym. Od dzieciństwa żyje z niepełnosprawnością - bez jednej ręki - po chorobie nowotworowej kości. Przez lata słyszała raczej, czego nie powinna robić, niż co może robić po swojemu. Z lekcji WF-u była zwalniana, sport zostawał gdzieś obok.

Do aktywności wróciła dopiero po latach. Był basen, aquafitness, zumba. W grupach osób pełnosprawnych nie czuła się odrzucana, ale czuła, że stale się wyróżnia. Trzeba było dostosowywać ćwiczenia, tłumaczyć ograniczenia, przyjmować fakt, że inni ją zapamiętują. W amp futbolu tak nie jest. Nie dlatego, że jest łatwo. Raczej dlatego, że nikt nie dziwi się temu, że ciało pracuje inaczej.

- Tu jest większe zrozumienie. Kiedy nie ma się kończyny, ciało funkcjonuje nierówno. Jedna strona przejmuje więcej, druga jest słabsza. Dopiero przy treningach siłowych zaczęłam widzieć, ile pracy mnie czeka - opowiada.

Na bramce musi być szybka. Musi reagować w ułamku sekundy, ale też nauczyć się rzeczy, które dla kogoś z zewnątrz brzmią prosto: upaść, nie uszkodzić się, wstać i bronić dalej. Najtrudniejsze są teraz bramkarskie pady. Kiedy piłka leci w twarz, ciało chce się cofnąć. Bramkarka musi zrobić coś odwrotnego.

- Nie mogę uciekać. Muszę wychodzić do piłki. Ostatnio zauważyłam, że już nie cofam głowy, tylko wyciągam rękę i bronię. Dla kogoś to może drobiazg, dla mnie znak, że trening działa - mówi Ewa.

Podpatruje trenerkę Zuzę, która w Warcie prowadzi kobiety, a w kadrze pracuje z bramkarkami. Patrzy, jak ustawia ciało, jak upada, jak podnosi się bez podpierania ręką. W tym sporcie właśnie takie szczegóły są ważne. Dla kibica mogą być niewidoczne, dla zawodniczki decydują o tym, czy zdąży do piłki.

Ewa uczy się też własnego organizmu. Przy dłuższych treningach ujawniły się u niej problemy z hipoglikemią reaktywną. Musi pilnować jedzenia, odpoczynku, reakcji ciała. Na trening przychodzi z sensorem. Telefon zostawia trenerce.

- Powiedziałam: jeśli będzie dzwonił, dajcie mi znać. Nie chodzi o to, żeby ktoś mnie ratował, tylko żebym mogła trenować bez doprowadzania się do granicznej sytuacji - tłumaczy.

Ważne było dla niej to, że drużyna zareagowała zwyczajnie. Fizjoterapeutka pytała, jak się czuje. Koleżanki sprawdzały, czy wszystko w porządku. Bez sensacji, bez wielkich słów. Po prostu z uważnością.

Tak samo było po jednym ze zgrupowań, kiedy dostała piłką w głowę. Nic poważnego się nie stało, ale puściły emocje. Ewa rozpłakała się bardziej z napięcia i zaskoczenia niż z bólu. Wtedy Marlena, koleżanka z drużyny, krzyknęła, żeby wstawała i broniła, bo zaraz będzie kolejny strzał.

- Najpierw się zdenerwowałam, a potem zrozumiałam, że miała rację. Na meczu nikt nie będzie czekał, jeśli sędzia nie przerwie gry. Trzeba się pozbierać i grać dalej. Po wszystkim dziewczyny pytały, jak się czuję. To było wsparcie, tylko podane po sportowemu - dodaje.

Warta jako druga rodzina

Marlena Olszewska sama o Warcie mówi krótko: rodzina. Do Poznania trafiła z reprezentacji, kiedy kobiece zawodniczki zostały podzielone między dwa kluby: Furię Warszawa i Wartę Poznań. Wybrała Poznań, bo miała bliżej, ale też dlatego, że to miasto było jej już znane. Tu się protezuje, tu łatwiej jej organizować sportowe życie.

Pochodzi z Głuchowa w Wielkopolsce. Trzy lata temu, w wieku 43 lat, miała wypadek w pracy. Wjechał w nią wózek widłowy. Straciła nogę. Nie ukrywa, że psychicznie było i nadal bywa trudno. Amp futbol stał się dla niej nie tylko sportem, ale też formą porządkowania życia po wypadku.

- Warta to jedna wielka rodzina. Dziewczyny bardzo szybko się zgrały. Przyjeżdżam tutaj i mogę sobie wiele rzeczy poukładać w głowie. To jest też dla mnie forma terapii - mówi Marlena.

W piłkę wcześniej nie grała. Dzisiaj sama śmieje się z tego, że kiedyś trzymała się od niej daleko, a teraz mocno się zaangażowała. Dwa razy w tygodniu ma siłownię, dwa razy bieganie, do tego gra na orliku. Jest ambitna, chce się uczyć i chce być coraz lepsza.

- Najważniejsze jest dla mnie to, żeby nauczyć się dobrze grać. Wysoko stawiam sobie poprzeczkę, ale wierzę, że dam radę. Amputacja nie jest dla nas przeszkodą - podkreśla.

Nie zostać samemu w domu

Emilia Duda z Chrzypska Wielkiego także musiała poukładać życie od nowa. Gdy miała 41 lat, dowiedziała się, że choruje na nowotwór. Ampu-

eprasa.pl eb1c8fbccf

tacja nogi na wysokości uda zmieniła codzienność, ale nie odebrała jej potrzeby ruchu. Wcześniej była aktywna: grała w siatkówkę, miała amatorską drużynę, grała w tenisa stołowego i ziemnego, jeździła na rowerze, sędziowała mecze piłki nożnej. W samą piłkę jednak nie grała.

Teraz uczy się jej od podstaw. Jest prawonożna, a grać musi lewą nogą. Mówi o tym bez narzekania, raczej z zadaniowym spokojem. Trzeba się nauczyć, trzeba powtarzać, trzeba dać sobie czas.

– To jest dostosowanie sportu do swoich możliwości. Każda z nas ma inną historię: jedna straciła kończynę w wypadku, druga przez chorobę. Ale na boisku jesteśmy zespołem. Tu każdy jest częścią drużyny – mówi Emilia.

Dla niej najważniejsze jest to, żeby nie zostać samemu w domu. Zna taki moment, kiedy człowiek może zamknąć się w czterech ścianach i odciąć od świata. Dlatego dziś tak mocno podkreśla rolę ludzi: rodziny, znajomych, drużyny.

– Miałam bardzo duże wsparcie po amputacji. To dało mi siłę, żeby wstać z łóżka i iść do przodu. Jestem rok po chemii, cały czas walczę, ale mam nadzieję, że najgorsze jest już za mną – mówi.

Kobieca drużyna Warty Poznań działa od niedawna, ale zawodniczki szybko złapały wspólny rytm. Trenują osobno, ale mają też możliwość grania z mężczyznami. To ważne, bo tempo i siła są wtedy większe. Poprzeczka idzie wyżej.

– Oni pokazują nam, że bariery nie muszą nas zatrzymywać. Kobieta może zagrać z mężczyzną, jeśli jest przygotowana i chce pracować. Ten sport nas jednoczy – dodaje Emilia.



FOT. WALDEMAR WYLEGALSKI

Jakub (po lewej) i Oktawian (po prawej) reprezentują męską część sekcji amp futbolu Warty Poznań


FOT. WALDEMAR WYLEGALSKI

Od lewej: Marlena, Ewa i Emilia. Każda ma inną historię, ale na boisku grają w jednej drużynie

Powrót do piłki

W męskiej drużynie podobną drogę powrotu do piłki przeszedł Jakub Tomaszewski z Koła. Gra z przerwami od kilku lat, ale dopiero poprzedni sezon był dla niego prawdziwym debiutem w turniejach. Wcześniej przez dziewięć lat grał w piłkę w miejskim klubie sportowym. Po wypadku w pracy, w którym stracił nogę, oglądał mecze reprezentacji Polski w amp futbolu i postanowił spróbować.

– Ten sport daje mi spełnienie marzeń. Z piłką zawsze byłem związany. Nie byłem na tyle dobry, żeby zostać zawodowcem, ale teraz mogę to kontynuować. Jest radość i spełnienie, ale też dużo pracy – mówi Jakub.

Praca rzeczywiście jest intensywna. Zgrupowania i turnieje to tylko część sezonu. Reszta zależy od zawodników: trening indywidualny, bieganie, siłownia, praca z piłką, regeneracja. Jakub mówi, że największym wyzwaniem jest samodyscyplina. Trzeba ćwiczyć także wtedy, gdy nie ma obok trenera i drużyny.

Na boisku nie wystarczy sama chęć. Potrzebna jest kondycja, siła ramion, sprawne barki, dobra technika poruszania się o kulach. Potrzebna jest też cierpliwość, bo organizm po amputacji ma swoje ograniczenia, a kontuzja jednej kończyny czy przeciążenie barku może wyłączyć zawodnika z gry.

Przełamać własne bariery

Młodsze pokolenie w Warcie reprezentuje Oktawian Śniowski z Gorzowa. Ma 21 lat, studiuje dietetykę i jest wicekapitanem zespołu. Do amp futbolu trafił trochę przypadkiem. Wiedział, że istnieje taka dyscyplina, ale dopiero kiedy ktoś spotkał go na mieście i zostawił numer telefonu, spróbował naprawdę.

Gra od 2020. Najpierw trafił do kadry juniorów, później do młodzieżówki. Pierwsze zgrupowanie zapamiętał bardzo dobrze, bo szybko przekonał się, ile ten sport wymaga.

– Jeszcze dobrze nie umiałem chodzić o kulach. Po samej rozgrzewce nie miałem już siły. Wtedy zobaczyłem, jak mocno pracuje całe ciało – wspomina.

Wcześniej przeszedł leczenie onkologiczne. Nowotwór wykryto w obrębie stopy. Była biopsja, leczenie, potem decyzja o amputacji i chemioterapia uzupełniająca. Dziś Oktawian jest po pięcioletniej obserwacji i raz w roku jeździ na badania kontrolne. O chorobie mówi spokojnie, ale nie udaje, że dla młodego człowieka było to łatwe doświadczenie.

Najtrudniejszy był nie tylko ból czy szpital. Było też odcięcie od rówieśników, wstyd przed wyjściem z domu, uczenie się siebie po amputacji. Pomogli rodzice, bracia, znajomi. Ważne było to, że przyjęli go naturalnie. Z czasem pojawił się dystans, żarty, zwykłość.

– Dla młodego człowieka to mocno działa na psychikę. Sama akceptacja po amputacji była trudna. Ale miałem bardzo duże wsparcie. To naprawdę dużo daje – mówi Oktawian.

Amp futbol pomógł mu tę akceptację osadzić w codzienności: trening, zgrupowanie, mecz, studia, badania kontrolne, kolejny sezon. Oktawian interesuje się żywieniem, dlatego wybrał dietetykę. Śmieje się, że sport i jedzenie dobrze się łączą. Na boisku mówi już jednak jak zawodnik: chce być gotowy, chce się rozwijać, chce pomagać drużynie. Jako wicekapitan wie, że odpowiedzialność nie kończy się na własnej formie. Trzeba też pilnować atmosfery, wspierać nowych, dawać przykład. Nie wielkimi słowami, tylko obecnością i pracą.

– Chyba każdy chce wygrywać. Ja też chciałbym mieć sukcesy w tym sporcie. Wiem, że muszę jeszcze więcej pracować, jeśli chcę być gotowy na kolejne powołania – przyznaje.

Mówi o nieporównywaniu się z innymi. Zwłaszcza dziś, kiedy media społecznościowe stale pokazują cudzą sprawność, cudzy wygląd i cudze sukcesy. Oktawian mówi o tym otwarcie: jeśli ktoś chce wyjść na dwór, pójść na basen, założyć krótkie spodenki mimo protezy albo braku nogi, powinien to zrobić.

– Najważniejsze to przełamać bariery, które człowiek sam sobie nakłada. Często najbardziej ograniczamy się sami – podkreśla.

Drużyna, do której można dołączyć

To tylko kilka historii z większej drużyny. W sekcji amp futbolu Warty Poznań jest dziś 26 zawodniczek i zawodników: około 12 kobiet i 14 mężczyzn. Część dziewczyn nadal łączy grę w kobiecym zespole z obecnością w kadrze meczowej mężczyzn, bo w tym środowisku rozwój jednej grupy ma ciągnąć w górę także drugą.

Warta Poznań rozwija amp futbol od 2019 roku. Kacper Pyto, związany z sekcją organizacyjnie i trenersko, mówi, że pomysł wyrósł z potrzeb lokalnego środowiska. Jeden z byłych zawodników i były trener szukali miejsca, w którym można byłoby otworzyć sekcję. Warta okazała się klubem gotowym przyjąć taką inicjatywę.

– Nasz klub zawsze lubił nieoczywiste projekty. Mamy też blind football, czyli piłkę nożną dla osób niewidomych i niedowidzących, więc amp futbol dobrze wpisał się w nasze myślenie o klubie – mówi Kacper Pyto.

Początki nie były proste. Zawodników szukano na różne sposoby. Kacper wspomina, że zdarzało mu się podchodzić do osób z protezą na ulicy i pytać, czy już trenują albo czy chciałyby spróbować amp futbolu. Ten sposób nie zawsze działał. Wiele osób miało już swoje dyscypliny albo nie było gotowych na zmianę. Lepszy okazał się internet: fora, zbiórki, kontakty przez środowisko.

Dziś do Warty wciąż można dołączyć. Klub szuka osób po amputacjach i z dysfunkcjami kończyn, które chciałyby spróbować swoich sił na boisku – niezależnie od tego, czy wcześniej grały w piłkę, czy dopiero chcą zobaczyć, jak wygląda ten sport. Na początku nie trzeba mieć doświadczenia ani pełnego przygotowania. Ważniejsze są chęci, gotowość do pracy i odwaga, żeby przyjść na pierwszy trening.

A pierwszy trening szybko pokazuje, że amp futbol nie jest spokojniejszą wersją piłki nożnej. Różni się od niej przede wszystkim sposobem poruszania się zawodników. Gracze z pola występują bez protez i biegają o specjalnych kulach, a piłkę prowadzą oraz uderzają jedną nogą. Bramkarze mają z kolei dysfunkcję kończyny górnej, bronią jedną ręką i nie mogą opuszczać pola karnego. Mniejsze jest też boisko i bramka, a mecze są krótsze, za to bardzo intensywne. Liczą się szybkość, siła ramion, technika poruszania się na kulach i decyzje podejmowane w ułamku sekundy.

Chodziło więc nie tylko o zbudowanie drużyny. Równie ważne było stworzenie miejsca, w którym osoby po amputacjach albo z dysfunkcjami mogłyby poczuć się bezpiecznie i normalnie. W ostatnich sezonach do sekcji dołączali kolejni zawodnicy. Dla klubu to sygnał, że środowisko rośnie, ale też zobowiązanie: trzeba zapewnić treningi, opiekę, organizację wyjazdów, sprzęt i ludzi, którzy będą prowadzić zespół.

– Chcieliśmy pomóc ludziom wyjść do innych i znaleźć środowisko, w którym będą się dobrze czuli. To było dla nas bardzo ważne – dodaje Kacper Pyto.

W tej drużynie ciepło nie wyklucza wymagań. Zawodnicy mówią o rodzinnej atmosferze, ale na boisku nie ma udawania. Jeśli piłka leci, trzeba ją odbić. Jeśli akcja trwa, trzeba biec. Jeśli zawodnik upadnie i nic poważnego się nie stało, musi wstać. Nie dlatego, że ktoś lekceważy ból. Dlatego, że to jest sport.

Są przepisy, tabela, przeciwnicy, punkty. Są mecze z drużynami z Krakowa, Warszawy, Wrocławia czy Rzeszowa. Są turnieje w różnych miastach, a każdy wyjazd jest sprawdzianem przygotowania. Bo choć za każdym zawodnikiem stoi osobna historia, na boisku najważniejsze są już forma, technika, taktyka i odpowiedzialność za drużynę.

Dlatego zawodnicy nie chcą, by patrzeć na nich wyłącznie przez pryzmat niepełnosprawności. Owszem, każda historia ma swój trudny początek: chorobę, wypadek, amputację, długą rehabilitację, czasem lęk przed wyjściem z domu. Ale na treningu najważniejsze są podanie, strzał, ustawienie, reakcja, wytrzymałość. W szatni – żarty, zmęczenie i zwykłe rozmowy. Na meczu – wynik.

eprasa.pl eb1c8fbccf

Polska
Piątek–niedziela, 29–31.05.2026

ŚMIERĆ ADOLFA EICHMANNA, ARCHITEKTA HOLOKAUSTU

W nocy z 31 maja na 1 czerwca 1962 roku w słynnym więzieniu Ramli w Izraelu stracono – po długim procesie – SS-Obersturmbannführera Adolfa Otto Eichmanna. Jego prochy rozsypano, by nie było grobu zbrodniarza

Mariusz Grabowski

Egzekucję hitlerowca przeprowadzono minutę po północy, bezpośrednio po tym, jak prezydent Izraela Icchak Ben-Zwi odrzucił jego prośbę o ułaskawienie.



FOT. COURTESY EVERETT COLLECTION/EAST NEWS

Na procesie było obecnych 700 dziennikarzy z całego świata. Wielu publicystów uznało proces za zbyt zbiurokratyzowany i niepokazujący całego zła Eichmanna

Zabić czy nie?

W czasie głośnego procesu, który był transmitowany na cały świat przez radio i telewizję, Eichmann został uznany winnym zbrodni „przeciwko ludności żydowskiej, zbrodni wojennych, zbrodni przeciwko ludzkości oraz przynależności do zbrodniczych organizacji". Choć część zarzutów została oddalona, ława sędziowska uznała go winnym, fanatycznym antysemitą, głęboko zaangażowanym w proces tak zwanego ostatecznego rozwiązania.

Werdykt odbił się szerokim echem na świecie. Do prokuratora generalnego napłynęło wiele listów potępiających wyrok, lecz także wyrażających satysfakcję. Wielu polityków, filozofów, historyków z Izraela i z zagranicy naciskało, by prezydent ułaskawił skazanego. Zebrał się nawet gabinet, któremu przewodniczył Ben Gurion, by rozpatrzeć kwestię: czy w tym jedynym przypadku można zastosować nieistniejącą w kodeksie karę śmierci.

29 maja 1962 roku apelacja adwokatów Eichmanna została odrzucona i wyrok został utrzymany w mocy.

Prawo i polityka

Proces 55-letniego Niemca rozpoczął się 11 kwietnia 1961 r. w Jerozolimie. Głównym oskarżycielem był Gidon Hausner, prokurator generalny Izraela, a obrońcą dr Robert Servatius, prawnik z Kolonii, którego wynagrodzenie opłacone zostało przez Izrael i RFN. W trakcie procesu przesłuchano 112 świadków oraz zaprezentowano setki dokumentów stanowiących dowód na rolę Adolfa Eichmanna w przeprowadzeniu zagłady Żydów.

„Proces Eichmanna – pisze historyk Krzysztof Persak – miał dwa cele, nie całkiem ze sobą zgodne. Z jednej strony chodziło o osądzenie Eichmanna za popełnione czyny – a zbrodnie, w których osobiście uczestniczył, z pewnością były wystarczającą podstawą do skazania".

Wbrew jednak temu jak go przedstawiano, nie był głównym organizatorem Zagłady. Tymczasem w zamyśle władz Izraela jego proces miał posłużyć jako ważny instrument państwowej polityki historycznej. Prokurator Gideon Hausner i premier Dawid Ben Gurion chcieli przekształcić proces Eichmanna w wielki historyczny sąd nad mordem Żydów.

„Chodziło im o nakreślenie całościowego obrazu Zagłady, pokazanie światu ogromu cierpień Żydów, a także o opowiedzenie o ich poświęceniu i aktach oporu" – dowodzi Persak.

Proces był wydarzeniem

Na procesie było obecnych 700 dziennikarzy z całego świata. Powstało wiele dzieł literackich, filmów i sztuk teatralnych dotyczących tego wydarzenia. Wielu komentatorów i publicystów uznało proces za nieudany – jako za zbyt zbiurokratyzowany i niepokazujący prawdziwego Eichmanna – wroga ludzkości.

Aktem oskarżenia, w którego redagowaniu uczestniczył ponoć sam premier Ben Gurion, objęto w zasadzie wszystkie etapy Zagłady. Eichmannowi przypisano główną odpowiedzialność również za zbrodnie, w których bezpośrednio nie uczestniczył ani ich nie organizował, np. masowe egzekucje Żydów na Wschodzie prowadzone przez Einsatzgruppen czy oznaczoną kryptonimem „Reinhard" operację wymordowania Żydów w Generalnym Gubernatorstwie.

Było to miejscami prawniczo wątpliwe i przewodniczący sądu Mosze Landau kilkakrotnie zwracał prokuratorowi Gideonowi Hausnerowi uwagę, by „ściślej trzymał się osobistej roli podsądnego". Prokurator bowiem luki w materiale dowodowym często pokrywał retoryką.

Hitlerowiec buddysta

Przez cały czas procesu Eichmann utrzymywał, że był jedynie „instrumentem w rękach przywódców i nie czuje się winny". Brak skruchy był widoczny, gdy oskarżenie przygotowało w trakcie procesu film o zbrodniach oskarżonego. W czasie projekcji zaczął on reagować widocznym wzburzeniem w stosunku do naczelnika więzienia. Okazało się, że film pokazujący komory gazowe i stosy zwłok nie wywołał u niego żadnego pozytywnego odruchu. Podenerwowanie wywołał fakt, że na rozprawę doprowadzono go w swetrze i szarym garniturze, a nie granatowym, który lubił.

Już po procesie i wyroku sporo napisano o światopoglądzie Eichmanna, pochodzącego z rodziny kalwińskiej, która należała do niewielkiej protestanckiej mniejszości w katolickiej Austrii. Wielokrotnie stwierdzał, że porzucił Kościół „z poważnych powodów" i dalsze dyskusje na ten temat „byłyby bezpodstawne". Wyjaśniał, że religia dotyczyła polityki, dlatego w latach 30. zwrócił się ku greckim filozofom, przede wszystkim Nietzschemu, i buddyzmowi. Twierdził, że absurdalne było, że wszechmogący Bóg pozwolił ukrzyżować Swego Syna.

Uważał, że droga do Boga nie prowadziła przez Chrystusa i przejawiał wiarę w fatalizm i panteizm. Według niego Bóg zwalniał człowieka z moralnych rozterek. Widział wszechświat na kształt konferencji w Wannsee. Szefostwo SS (czyli bogowie) podjęło decyzje, a on „jedynie wypełniał ich rozkazy".

„Nie bronił się, nie płakał"

Wróćmy do momentu przed egzekucją. Po otrzymaniu informacji o odrzuceniu apelacji i powrocie do celi skazany napisał kilka listów do rodziny i wypił pół butelki czerwonego wina Carmel. Przed północą do celi przyszedł pastor Hull, z którym Eichmann często dyskutował o religii. Skazany powiedział do niego: „Nie będę dzisiaj z panem dyskutował o Biblii. Nie mam wiele czasu do stracenia". W celi pojawił się następnie Rafi Eitan – agent Mosadu, który skuł zbrodniarza. Ten spojrzał na niego i powiedział po niemiecku: „Mam nadzieję, że będziesz następny".

Wykonawcę wyroku śmierci przez powieszenie wybrano spośród strażników więziennych w drodze losowania. Los padł na pochodzącego z Jemenu Shaloma Nagara. „Eichmann nie bronił się, nie płakał, nie drżał" – wspominał Nagar. „Stałem kilka kroków od niego i patrzyłem mu prosto w oczy".

Prochy rozwiał wiatr

Eichmanna zaprowadzono do sali straceń, gdzie wypowiedział ostatnie słowa. Wedle świadectw brzmiały: „Sieg heil Deutschland! Sieg heil Argentinien! Sieg heil Österreich! To są te trzy kraje, z którymi byłem najbardziej związany i których nie zapomnę. Pozdrawiam mą żonę, moją rodzinę i mych przyjaciół. Jestem gotowy. Spotkamy się ponownie wkrótce, bo taki jest los wszystkich ludzi. Umieram, wierząc w Boga". W ostatniej woli skazaniec poprosił o białe wino i odmówił założenia worka na szyję. Uznano ten gest za oznakę, że nie boi się swojego losu.

Shalom Nagar wspominał, że przygotowując zwłoki do kremacji, nie wiedział, że u uduszonej osoby w płucach pozostaje powietrze. Gdy uniósł zwłoki do góry, wydobył się z nich makabryczny odgłos, coś jak „grrrreerrerere", co wedle niego zabrzmiało jak „Jemeńczyku".

Ciało Eichmanna spalono w przygotowanym krematorium niedaleko plaży, a jego prochy rozrzucono nad międzynarodowymi wodami Morza Śródziemnego.

Spór po latach

Proces Adolfa Eichmanna do dziś wzbudza emocje. Już w 1963 r. ukazała się książka „Eichmann w Jerozolimie: rzecz o banalności zła" autorstwa niemieckiej filozof Hanny Arendt. Opisywała kulisy procesu i pisała, że „Eichmann działał bezmyślnie, niczym trybik w nazistowskiej maszynie zagłady. Był jedną z wielu podobnych sobie jednostek".

Pół wieku później do kwestii procesu wrócił reżyser i badacz Holokaustu Claude Lanzmann. „Proces Eichmanna w roku 1962 w Jerozolimie został przeprowadzony skandalicznie źle i przez ignorantów" – mówił w wywiadzie dla „Nwsweeka" w 2014 r. „To był polityczny show zamówiony przez Ben Guriona, mający stanowić akt założycielski państwa Izrael. Nikt nie szukał prawdy i nikt nie pracował tak jak należy. Sędziowie i prokuratorzy wszystko mieszali: nie odróżniali getta w Chełmie od obozu zagłady w Chełmnie. (…) Rzekoma »banalność zła« to jedynie banalność konkluzji pani Arendt. Eichmann był fanatycznym antysemitą, na dodatek niewiarygodnie skorumpowanym. Kochał pieniądze. Był gotowy na wszystko, żeby je zdobyć".

Zadzwonił telefon

„Przez rok miałem koszmary" – wspominał wykonawca wyroku, zmarły w 2024 roku Shalom Nagar. Spokój przywróciła mu religia. Przeniósł się do nowego osiedla żydowskiego na Zachodnim Brzegu Jordanu, zamieszkanego przez radykalnych osadników; walczył podczas wojny siedmiodniowej.

W 1994 r. Nagar modlił się w synagodze, gdy w pobliżu żydowski fanatyk zastrzelił przy grobie patriarchy Abrahama 29 muzułmanów. W obawie przed zemstą Palestyńczyków sprzedał dom i powrócił do Holonu.

W 1988 r. zadzwonił do niego dawny szef więzienia Ramli. „Chcesz wykonać wyrok na Johnie Demianiuku?" – usłyszał w słuchawce. Ukraiński oprawca z obozu zagłady w Sobiborze został właśnie skazany na śmierć. Tym razem Szalom Nagar odmówił…

eprasa.pl eb1c8fbccf

HISTORIA/BIOGRAFIA

Ciężka od trosk kędzierzawa głowa Bolesława IV

Choć Bolesław IV Kędzierzawy (ok. 1122-ok. 1173), który aż przez 27 lat panował jako polski książę w czasie rozbicia dzielnicowego, tak naprawdę wciąż pozostaje postacią mało znaną. Jego biografia, pióra dr. Rafała Rutkowskiego, pozwala trochę tego władcę przywrócić pamięci.

Rutkowski kreśli bowiem nie tylko obraz księcia, ale także postaci mu współczesnych, m.in. księżnej Salomei, księcia Słowian połabskich Jaksy z Kopanicy czy bp. płockiego Aleksandra z Malonne. Co zaś do księcia – jego rządy przypadły na bardzo burzliwy okres. Przez większość panowania nie schodził z konia – walczył albo ze swoimi braćmi, albo z wrogami zewnętrznymi.

Z rodziną na noże

Książka składa się z siedmiu rozdziałów dotyczących kolejnych etapów życia księcia – od lat młodości, przez wykonanie testamentu jego ojca Bolesława Krzywoustego, wojnę domową, lata senioratu, relacje z cesarstwem, po schyłek panowania.

Bolesław Kędzierzawy był czwartym z kolei dzieckiem Bolesława (1102-1138). Swój intrygujący przydomek uzyskał dzięki swym silnie kręconym włosom. Urodził się około 1122 roko. Najpóźniej w 1137 r. ożenił się z księżniczką ruską Wierzchosławą, córką Wsiewołoda Mścisławicza, księcia Nowogrodu Wielkiego.

Ojciec wyznaczył Bolesławowi Kędzierzawemu w testamencie Mazowsze z częścią Kujaw. Swoje dzielnice otrzymali także pozostali pełnoletni synowie Krzywoustego. Reszta ziem polskich (w tym Śląsk) znalazła się we władaniu Władysława II Wygnańca, seniora rodu.

Ćwierć wieku rządów i ciąg familijnych konfliktów. Poprawnie układające się stosunki między seniorem a juniorami (Bolesławem Kędzierzawym i jego bratem Mieszkiem Starym) zaczęły się wyraźnie psuć już w 1141 roku. Jeszcze zimą 1141/1142 roku Władysław Wygnaniec pojawił się na Mazowszu, gdzie spalił gród w Czersku i uprowadził wielu jeńców.

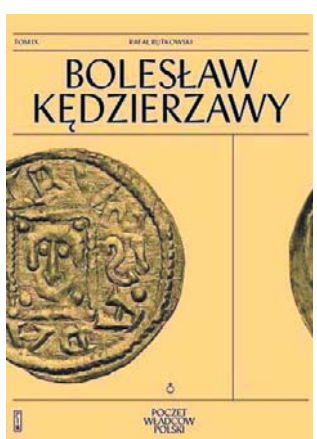
Kwestia niemiecka

W 1146 r. przeciwko Bolesławowi Kędzierzawemu ruszyła też wyprawa niemiecka, na której czele stanął król Konrad III. Do interwencji zbrojnej na wschodzie władcę Rzeszy nakłonił Władysław Wygnaniec, który nie ustawał w zabiegach o odzyskanie utraconego stolca. Na nieszczęście dla tego ostatniego Niemcom w toku wojny z nowym seniorem rodu nie szło najlepiej. W konsekwencji Niemcy powrócili do domu po złożeniu im przez Kędzierzawego sporego okupu.

Nie zabrakło w tej historii elementu upokarzającego. Gdy w wyniku przeciągającej się wojny Niemcy wrócili w okolice Poznania, Bolesław zdecydował się na rokowania z cesarzem. Po ich zakończeniu złożył Fryderykowi (w miejscowości Krzyszkowo pod Poznaniem) hołd lenny. W trakcie specjalnej ceremonii Bolesław upadł do nóg imperatora i błagał o wybaczenie. Cesarz wspaniałomyślnie wysłuchał błagań Piasta i uznał jego władzę nad Polską.

Bolesław zmarł prawdopodobnie 5 stycznia 1173 roku i równie prawdopodobnie został pochowany w katedrze płockiej, u boku ojca i dziada. Ale już Jan Długosz wspomina o pochówku na Wawelu. Opiekę nad małoletnim synem Leszkiem, dziedzicem dzielnicy mazowieckiej, polecił w testamencie najmłodszemu bratu, księciu wiślickiemu Kazimierzowi, którego uczynił swym dziedzicem w razie przedwczesnej i bezpotomnej śmierci Leszka.

Bożydar Brakoniecki



Rafał Rutkowski, „Bolesław Kędzierzawy”, wyd. PIW, Warszawa 2026, cena 89 zł

RELIGIA/TEOLOGIA

„Czy wasza to rzecz znać czasy i chwile?”

Autorka tej 134-stronicowej rozprawki, kryjąca się pod pseudonimem Magdalena Szostak, wychowana w środowisku Świadków Jehowy, podjęła się analizy doktryny i działalności Towarzystwa Strażnica, dość egzotycznego elementu polskiej religijności. Przedstawiła też zasadnicze różnice między wiarą chrześcijańską a nauczaniem byłych współwyznawców. „Jako konwertytka zatem przezwyciężam w sobie »bolesny podział wyznaniowy«, przerzucam most na drugą stronę” – pisze Szostak. Ale zauważa jednocześnie, że liczni katolicy nie znają dobrze nauki Kościoła, nie potrafią wskazać jej biblijnych podstaw, a ludzi, którzy chcą rozmawiać o wymaganiach i zasadach Bożych, nie traktują poważnie.

Trochę historii

Do Polski badacze Pisma Świętego przybyli w 1895 roku. Obecnie Świadków Jehowy jest u nas około ćwierć miliona. Jest to w naszym kraju trzecie co do wielkości wyznanie – po katolikach i prawosławnych. Ponad 120 tysięcy osób to pełnoprawni członkowie wspólnoty – tzw. głosiciele. Druga połowa (tzw. uczestniczący) przygotowuje się do pełni apostołowania, kaznodziejstwa i werbowania.

Twórcą wyznania i zarazem sprawnie funkcjonującej organizacji religijnej był Charles Taze Russell (1852-1916), handlarz tekstyliami i obuwiem, były adwentysta. W zakresie wiedzy biblijno-teologicznej był samoukiem. Dzięki publikacjom w swoim piśmie „Strażnica Syjońska. Zwiastun obecności Chrystusa” zdobył sporą popularność i zyskał licznych zwolenników.

Oko na doktrynę

Świadkowie Jehowy odrzucają główne dogmaty wiary chrześcijańskiej: dogmat Trójcy Świętej i bóstwo Chrystusa. Upraszczając, można ich uznać za judaistyczną sektę eschatologiczną, która nie zalicza się do Kościołów i wspólnot chrześcijańskich.

Według Świadków Jehowy Bogiem jest tylko jeden Bóg – Jehowa, wszechmocny Stwórca wszystkich bytów we wszechświecie. Chrystus jest pierwszą osobą stworzoną przez Jehowę, archaniołem, który wcielił się w człowieka, rodząc się z dziewicy Maryi. Nie jest więc Synem Ojca Niebieskiego, choć istnieje od prawieków. Duch Święty jest synonimem mocy Bożej, nie zaś osobą. Chrystus – ich zdaniem – jest pierwszym Świadkiem Jehowy.

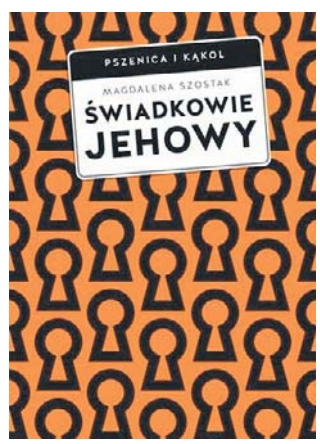
Biblia i jej interpretacja

Centralnym punktem nauki Świadków Jehowy jest koncepcja wiecznego zbawienia. Zbawieni będą tworzyć dwie klasy: „Pomazańców”, 144 tysiące zjednoczonych z Bogiem Jehową i współkrólujących z Jezusem w niebie. Dla milionów szeregowych członków, tzw. drugich owiec, będzie istniał wieczny raj na Ziemi. Będzie on przypominał biblijny Eden.

Piekła nie ma, a doktryna o nieśmiertelności duszy nie pochodzi z Biblii, lecz od szatana i demonów. Celem formacji i przygotowania kaznodziejskiego jest głoszenie wszystkim ludziom orędzia o rychłym nadejściu królestwa Bożego, ze wszystkimi konsekwencjami końca świata.

„Czy w sytuacji rozmowy ze Świadkiem Jehowy jesteśmy w stanie dać świadectwo wiary?” – zasadnie pyta Szostak.

Lucjan Strzyga



Magdalena Szostak, „Świadkowie Jehowy”, wyd. W drodze, Poznań 2026, cena 29,90 zł

LITERATURA SF

Czytając Lema, często oglądaj się przez ramię

Wśród tzw. znawców literatury słychać opinie, że „Głos Pana” Stanisława Lema to nie tylko jedna z jego najwybitniejszych powieści, ale jedno z tych dzieł, które należą do tzw. kanonu sf. Sam Lem uważał „Głos…” za prowokację intelektualną, zmuszającą do ponownego przemyślenia wielu fundamentalnych kwestii dotyczących – by użyć lekkiego zadęcia – naszego miejsca w kosmosie.

Czy mamy się bać?

Bohaterem powieści jest profesor Hogarth, błyskotliwy matematyk i uczony, którego postawa staje się swoistym lustrem dla zmagającej się z wszechświatem ludzkości. Jego analityczny umysł i pragmatyczne podejście do problemów odzwierciedlają ludzkie dążenia do zrozumienia rzeczywistości, ale zarazem ukazują wszystkie ograniczenia (a jest ich mnogość) ludzkiego bytu.

Nie bez powodu Lem pisał, że „Profesor Hogarth z »Głosu Pana« to ja”. Hogarth bierze udział w przedsięwzięciu rozszyfrowania tajemniczego sygnału płynącego do Ziemi z kosmosu, Lem analizuje tęsknoty i lęki przeżywane przez człowieka końca XX w. Obaj wyciągają podobne wnioski. I w obu przypadkach nie są one zbyt radosne.

By nadać powieści stosownej dramaturgii, Lem jej intrygę nie tylko komplikuje, ale też demonizuje. Czymże jest ów sygnał z kosmosu, przezwany przez ludzi wkrótce „The Master’s Voice”? Czy produktem wyższej cywilizacji, która chce nam coś przekazać? Czy „genotypem kosmosu”? Czy ostatnim głosem ginącego wszechświata, który przedostał się w obręb naszego, młodszego kosmosu?

A może, i to jest najbardziej kręcące, przesłaniem od diabła, ofiarowującego ludzkości nową, straszliwą broń? Wszystkie te opcje mają w tekście powieści swoje uzasadnienie i może dlatego problematyka powieści i toczone w niej dyskusje brzmią tak pasjonująco.

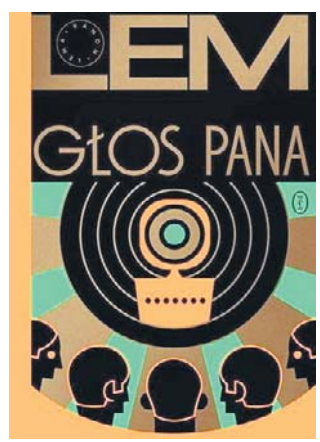
Lem nieoczywisty

„Głos…” wyszedł po raz pierwszy nakładem wydawnictwa Czytelnik w roku 1968. Od razu okrzyknięto go powieścią z kluczem. Pod niektórymi postaciami autor ukrył (czyżby szyderując?) prawdziwe osoby: Baloyne to prawdopodobnie krytyk Jan Błoński, Prothero to literat Jan Józef Szczepański, Eney to tow. minister Janusz Wilhelmi, zaś Hogarth, jak już wiemy, to sam Lem.

Niektórzy biografowie Lema dowodzą, że zawarty w powieści opis sceny rozstrzeliwania grupy Żydów przez żołnierzy SS stanowi jeden z nielicznych autobiograficznych fragmentów w dziełach autora, które bezpośrednio odnoszą się do jego przeżyć w czasie wojny i do jego żydowskiego pochodzenia. Potwierdza to krótki passus w liście pisarza do tłumacza Michaela Kandla: „Przygoda doktora Rappaporta jest moją przygodą, ze Lwowa 1941, po wejściu wojsk niemieckich – miałem być rozstrzelany…”.

Na koniec ciekawostka: w 2018 roku György Pálfi nakręcił film „Głos Pana”. Fabuła nie odnosi się jednak do treści powieści, ale antycypuje wydarzenia, które miałyby rozegrać się w przyszłości. Oto młody mężczyzna poszukuje ojca, profesora matematyki Petera Hogartha, który zaginął podczas pracy nad tajnym projektem rządu USA. Skala blamażu reżysersko-artystycznego Pálfiego jest tak wielka, że trudno uwierzyć, że kiedykolwiek trzymał on w ręku książkę Lema.

Mariusz Grabowski



Stanisław Lem, „Głos Pana”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 64,90 zł

eprasa.pl eb1c8fbccf

Polska
Piątek–niedziela, 29–31.05.2026

MISTRZOWIE URODY POZNAJ BLIŻEJ UCZESTNIKÓW TEGOROCZNEJ EDYCJI

Nie dla chłopaka, żony czy leginsów. Dla siebie!

Ewelina Żuberek
ewelina.zuberek@polskapress.pl

Nie dla partnera, nie dla znajomych i nie po to, żeby zmieścić się w leginsy czy zrobić zdjęcie na wakacjach. Coraz więcej osób zaczyna ćwiczyć i lepiej się odżywiać po prostu dla siebie.

Mieć więcej energii, lepiej się czuć, odzyskać pewność siebie, zawalczyć o lepsze życie i zdrowie - właśnie przy takich zmianach pojawiają się trenerzy i dietetycy. Pomagając zadbać o zdrowie, kondycję i dobre nawyki, bardzo często są też wsparciem, motywacją i przypominają, że nie trzeba być perfekcyjnym, żeby robić coś dobrego dla siebie. Ich „dasz radę" bywa bezcenne, bo droga do zmian rzadko wygląda jak z Instagrama. Są potknięcia. Są weekendy z pizzą. Są deszczowe środy, kiedy jedyne, na co mamy ochotę, to paczka chipsów... Bo w walce o siebie są i dni pełne energii i motywacji, ale są i takie, kiedy najchętniej odpuścilibyśmy wszystko. I właśnie dlatego tak ważne stają się relacje budowane ze specjalistami, którzy potrafią powiedzieć: „Spokojnie, gorszy moment nie przekreśla całej drogi".

Jeszcze kilka lat temu dietetyka i trening kojarzyły się głównie z wyrzeczeniami i walką o „idealną sylwetkę". Dziś coraz częściej są procesem odzyskiwania zdrowia, dobrego samopoczucia i życiowej równowagi, a podczas spotkań rozmawiamy ze specjalistkami nie tylko o kaloriach czy planie treningowym, ale też o stresie, codziennym chaosie, braku czasu - dlatego w tych zawodach równie ważne jak wiedza są empatia, cierpliwość i umiejętność słuchania.

Dietetycy pomagają zmieniać codzienne nawyki i pokazują, że zdrowe jedzenie nie musi oznaczać rezygnacji ze wszystkiego, co lubimy. Trenerzy towarzyszą w przełamywaniu własnych ograniczeń - i tych fizycznych, i tych w głowie. I właśnie dlatego wielu podopiecznych przychodzi do nich nie tylko po plan treningowy czy rozpiskę posiłków, ale też po rozmowę i zwykłe ludzkie wsparcie. - W akcji Mistrzowie Urody pokazujemy właśnie takich specjalistów - ludzi, którzy swoją codzienną pracą pomagają innym zrobić coś ważnego dla samych siebie. Za nami trzeci tydzień głosowania w akcji, w której udział biorą również dietetycy, trenerzy i instruktorzy. Niektórzy z nich opowiedzieli nam więcej o swojej pracy, motywacjach i relacjach budowanych z podopiecznymi. Ich historie znajdą państwo właśnie dziś w naszej gazecie – mówi Katarzyna Borek, która opiekuje się akcją od strony redakcyjnej.

Więcej na www.polskanews.pl/uroda



Dariusz Paprzycki, DarioDiet, Grójec

Kategoria: Dietetyk Roku

Zaczęło się od zainteresowania wpływem żywienia na zdrowie, samopoczucie i codzienne funkcjonowanie człowieka. Z czasem zauważył, jak ogromne znaczenie mają prawidłowe nawyki żywieniowe nie tylko w kontekście wyglądu sylwetki, ale przede wszystkim zdrowia, energii i jakości życia. Chciał pomagać ludziom w sposób praktyczny i realny, dlatego wybrał kierunek związany z technologią żywności i żywieniem człowieka, a następnie dalej rozwijał się w dietetyce klinicznej. Największą motywacją była możliwość pracy z ludźmi i obserwowanie, jak odpowiednio dobrana dieta potrafi zmienić czyjeś życie. Od ponad 4 lat prowadzi własną poradnię dietetyczną i każdego dnia utwierdza się w przekonaniu, że była to właściwa droga zawodowa. - Największą satysfakcję daje mi obserwowanie zmian, jakie zachodzą u moich podopiecznych, nie tylko tych związanych z utratą kilogramów, ale przede wszystkim poprawą zdrowia, samopoczucia i pewności siebie. Bardzo często trafiają do mnie osoby, które wcześniej wielokrotnie próbowały różnych diet i straciły wiarę, że mogą coś zmienić. Widok ich późniejszej radości i odzyskanej motywacji daje ogromną satysfakcję. Lubię również indywidualne podejście do każdego pacjenta - mówi.



Małgorzata Trociewicz, Elora Studio Pilates, Wołomin

Kategoria: Trener Personalny lub Fitness/Instruktor Jogi Roku

Małgorzata Trociewic jest certyfikowaną instruktorką pilatesu. Jej zajęcia koncentrują się na wzmacnianiu ciała, poprawie postawy oraz budowaniu stabilności i mobilności w sposób bezpieczny, efektywny i dopasowany do możliwości każdej osoby. Nominowana do tytułu Trener Personalny lub Fitness/Instruktor Jogi Roku stawia na precyzję, uważność oraz edukację ruchową, dzięki czemu Jej podopieczni nie tylko ćwiczą, ale uczą się lepiej rozumieć swoje ciało i jego potrzeby. Pilates to dla Niej proces, zarówno w pracy z innymi, jak i we własnym rozwoju, dlatego stale się szkoli i pogłębia swoją wiedzę.

Pani Małgorzata w swojej pracy łączy profesjonalizm z indywidualnym podejściem, tworząc atmosferę sprzyjającą komfortowi i świadomej pracy z ciałem. Jej celem jest nie tylko poprawa sprawności fizycznej, ale również zwiększenie pewności siebie i codziennego dobrostanu swoich podopiecznych. Dzięki zaangażowaniu, empatii i pasji do ruchu inspiruje innych do budowania zdrowych nawyków oraz trwałej relacji ze swoim ciałem.



Patrycja Lenarcik, Foremka, Kozienice

Kategoria: Trener Personalny lub Fitness/Instruktor Jogi Roku

- Przez lata pracowałam z ludźmi, choć w zupełnie innej branży. Moja przygoda ze sportem zaczęła się po narodzinach drugiego dziecka i początkowo była zwykłym zainteresowaniem, które z czasem przerodziło się w prawdziwą pasję. Dziś towarzyszy mi już od 7 lat - wspomina swoją historię pani Patrycja.

Co najbardziej lubi w swojej pracy, co daje Jej największą satysfakcję? - Największą satysfakcję dają mi postępy moich podopiecznych, obserwowanie, jak dzięki treningom czują się lepiej, kształtują swoją sylwetkę, a jednocześnie budują pewność siebie i wzmacniają poczucie własnej wartości - wymienia. Trener często towarzyszy ludziom w ważnych zmianach i trudniejszych momentach. Jakie znaczenie mają dla Niej relacje budowane z podopiecznymi?- Relacja z moimi podopiecznymi jest dla mnie najważniejsza. Nie jestem dla nich surowym wymagającym trenerem, lecz osobą, która wspiera i towarzyszy im w drodze do celu. Potrafię wysłuchać, wesprzeć w trudniejszych momentach, ale także zmotywować do działania i pokazać, że mogą osiągnąć więcej, niż sami przypuszczają - odpowiada.

AKTUALNI LIDERZY GŁOSOWANIA

FRYZJER ROKU
1. **Martyna Szymczak,** MS Studio Fryzjerskie Martyna Szymczak, Garno
2. **Angelika Urbańska,** Fryzjer Na Rogu, Ostrów Mazowiecka
3. **Jordan Sharon,** Salon Urody For You Hair, Warszawa

BARBER ROKU
1. **Robert Jaskulski,** Fryzjerski Jaskół Robert Jaskulski
2. **Katarzyna Lesiuk,** Kobieta z brzytwą, Nowy Dwór Mazowiecki
3. **Sandra Kowalska,** Fryzjer z Pasją, Sochaczew

KOSMETYCZKA ROKU
1. **Veronika Tarasiuk,** Veronika Beauty, Warszawa
2. **Martyna Szczepańska,** Pretty Eyes Studio, Celestynów
3. **Aneta Wojtulewicz,** Salon Urody Jolanta Skąpska, Radom

MAKE-UP ARTIST ROKU
1. **Luiza Ośka,** Luiza Ośka Make-up, Ryczywół
2. **Justyna Iwaniuk,** Konturówka, Jasienica
3. **Paulina Sobota,** Platinium Visage by Paulina Sobota, Warszawa

STYLISTKA PAZNOKCI ROKU
1. **Karolina Dobrogowska,** Architektura Pazura - Julia Blicharska, Nowy Dwór Mazowiecki
2. **Aneta Kosińska,** Paznokietki u Anetki, Grodzisk Mazowiecki
3. **Patrycja Irvan,** Z Pazurem! Beauty Studio, Wyszków

STYLISTKA RZĘS I BRWI ROKU
1. **Katarzyna Brzozowska,** FINEZJA PIĘKNA Katarzyna Brzozowska, Ostrów Mazowiecka
2. **Milena Kaczmarczyk,** MK Studio Urody, Wołomin
3. **Daria Załęska,** Bling Beauty, Warszawa

PODOLOG ROKU
1. **Jolanta Świostek,** Podolog Mani&Podo Jolanta Świostek, Radom
2. **Aneta Mosiołek,** Aneta Mosiołek Podologia, Warszawa
3. **Liliia Prytula,** Beauty Pro Warsaw, Warszawa

MISTRZ TATUAŻU I/LUB PIERCINGU ROKU
1. **Anna Głowacka,** Tattoo&PermanentMakeup Studio Anna Głowacka, Wieliszew
2. **Vladyslav Shcherbyna,** Enigma Tattoo Studio Warsaw, Warszawa
3. **Oliwia Skórnicka,** Cienka igla piercing, Radom

KOSMETOLOG ROKU
1. **Ewa Laura Borkowska,** Przywracamy Naturalne Piękno, Ostrołęka
2. **Oliwia Grajek,** Klinika SKINLAB, Warszawa
3. **Anna Martynowska,** Atelier Urody Wioletty Zychowicz, Nowy Dwór Mazowiecki

MASAŻYSTA ROKU
1. **Natalia Huniewicz,** Pani Masuje, Warszawa
2. **Armin Chabzda,** ReBorn ciało odNowa Armin Chabzda, Warszawa
3. **Rafał Kaczmarek,** Twój Masażysta Rafał Kaczmarek, Warszawa

TRENER PERSONALNY LUB FITNESS/INSTRUKTOR JOGI ROKU
1. **Maria Czarnik,** PoProstuPilates, Warszawa
2. **Katarzyna Szczepaniak-Kmiołek,** Po Prostu Pilates, Warszawa
3. **Patrycja Lenarcik,** Foremka, Kozienice

DIETETYK ROKU
1. **Dariusz Paprzycki,** DarioDiet, Grójec
2. **Julita Norek,** Zdrowo I Zielono Julita Norek, Radom
3. **Patryk Lipowski,** Dietetyk Kliniczny i Psychodietetyk Patryk Lipowski, Wołomin

SALON FRYZJERSKI ROKU
1. **MS Studio Fryzjerskie Martyna Szymczak,** Garno, Sosnowa 26
2. **Salon Fryzjersko - Kosmetyczny Modny Styl Dorota Borkowska,** Grodzisk Mazowiecki, Orzeszkowej 2
3. **Zakład Fryzjerski Małgorzata Mazur,** Zwoleń, Krakowska 4

STUDIO URODY ROKU
1. **Luxury Clinic,** Radom, Wernera 5/2
2. **Mariposa Beauty,** Nowy Dwór Mazowiecki, Wojska Polskiego 29A
3. **Pretty Eyes Studio,** Celestynów, św. Kazimierza 2A

PARTNER PLEBISCYTU
Beauty Razem

eprasa.pl eb1c8fbccf

HISTORIA TRWA ODBUDOWA PAŁACÓW: SASKIEGO I BRÜHLA. PRACE MAJĄ BYĆ SKOŃCZONE DO 2030 ROKU

Niezwykłe znalezisko na terenie Pałacu Brühla w Warszawie

Jan Zażelezny
Warszawa

Trwają prace archeologiczne na terenie dawnego Pałacu Brühla. Badacze natknęli się właśnie na zaskakujące i niespodziewane znalezisko.



FOT. FB PAŁAC BRÜHLA

Archeolodzy odsłonili pozostałości dziedzińca Pałacu Brühla. Wykopaliska co chwila zaskakują niespodziewanymi znaleziskami z poprzednich stuleci

W okolicy dawnego Pałacu Brühla (ul. Wierzbowa 1) archeolodzy natrafili już na kilka interesujących pamiątek przeszłości. W ostatnich tygodniach na tym terenie odnaleziono chociażby przedwojenną słuchawkę telefoniczną Ericsson, szklaną butelkę z wolskiego browaru Haberbusch i Schiele oraz filiżankę z fabryki porcelany Hutschenreuther. Teraz badacze natrafili na znacznie bardziej okazałe znalezisko - różę wiatrów na posadzce dawnego dziedzińca.

- Na samym dziedzińcu, na samym środku, znaleźliśmy tak naprawdę najciekawsze, najbardziej tajemnicze znalezisko, dlatego, że zupełnie się go tam nie spodziewaliśmy - powiedział rzecznik spółki Pałac Saski, Sławomir Kuliński.

Kuliński wyjaśnił, że praktycznie cały dziedziniec pałacu został skuty. Częściowo w 1944 roku przez niemieckie wojska wycofujące się z Warszawy, a częściowo po wojnie, kiedy teren ten był sprzątany i przygotowywany do zasypania. Dlatego tak zaskakujące jest, że coś w tym miejscu sprzed wojny przetrwało. - Na samym środku dziedzińca odnaleźliśmy różę wiatrów, którą zaprojektował Bohdan Pniewski - mówi rzecznik. - Pojawiała się ona również później w klatce schodowej Pałacu Brühla czy w wykończeniach podłóg. Odkryta róża wiatrów pozwala nam całkowicie zorientować wszystkie elementy tego dziedzińca.

Archeolodzy odkopali ponadto oryginalny bruk i oryginalne płyty granitowe, które pojawiły się w tym miejscu w trakcie przebudowy realizowanej przez Bohdana Pniewskiego w latach trzydziestych XX wieku. Rzecznik spółki nadzorującej współczesną odbudowę Pałacu wyjaśnił, że takie znaleziska są cenne, ponieważ pozwalają zbadać materiał, z którego wykonany był dziedziniec. Mają też duży walor historyczny.

- Po tych płytach i po tych schodach, które można zobaczyć schodził sam minister Beck, schodził prawdopodobnie król Rumunii, Karol II z dynastii Hohenzollern-Sigmaringen oraz następca tronu książę Michał, ale też Joachim von Ribbentrop w trakcie swojej ostatniej wizyty w Warszawie przed wybuchem II wojny światowej - podkreślił Sławomir Kuliński.

W ramach prac archeologicznych na terenie Pałacu odsłonięto także fragment murów będących częścią przedwojennego ogrodu Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Stanowi to istotną informację dla architektów, ponieważ ukazuje im realną granicę ogrodu przed wojną i pozwala zweryfikować rzeczywiste wymiary Pałacu względem materiałów archiwalnych, takich jak plany czy fotografie.

Pałac Brühla znajdował się przy ulicy Wierzbowej 1, przy placu Piłsudskiego. Został zniszczony przez Niemców po upadku Powstania Warszawskiego w grudniu 1944 razem z sąsiednim Pałacem Saskim. Planowana jest odbudowa obu pałaców. Docelowo ma to się stać do 2030 roku.

Pałac Brühla w Warszawie wybudowano w latach 1639-1642 na zlecenie podkanclerza koronnego, a później kanclerza wielkiego koronnego, Jerzego Ossolińskiego. Z racji pełnionej przez fundatora funkcji wojewody sandomierskiego nazywano go dawniej Pałacem Sandomierskim, ale od 1750 przylgnęła do niego nazwa pochodząca od nazwiska Henryka Brühla, pierwszego ministra króla Augusta III, który wtedy właśnie został właścicielem obiektu. Był kilkukrotnie przebudowywany, po raz ostatni w latach 1932-1937. Rewitalizację w latach 30. przeprowadzono pod okiem wybitnego architekta Bohdana Pniewskiego. PAP

POLSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet **ibo.polskapress.pl**

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Błonie tel. 668 085 925

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Ożarów Mazowiecki tel. 668 085 925

INNE

KURS Ochrony.1600 zł Raty. tel.694848043

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 7 dni od 1050 zł z 30% dofin. dla emerytów/ rencistów, tel 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie wczasy z wyżywieniem dla Seniorów. 601-585-510 www.danaustronie.pl

Karwia, - wczasy i pokoje nad morzem, 602-474-929

KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/ tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

aktualne z całej Polski **przetargi**

nasze komunikaty.pl

AUTOREKLAMA

Polecamy →

motofakty.pl



Motoryzacja na wysokich obrotach

motofakty.pl

eprasa.pl eb1c8fbccf

FINAŁ LIGI MISTRZÓW PSG OBRONI TROFEUM, CZY ARSENAL WYGRA CHAMPRIONS LEAGUE PO RAZ PIERWSZY?

W Paryżu zachowują spokój

Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Niebawem wystartuje piłkarski mundial, ale na razie w Paryżu wszyscy żyją finałem Ligi Mistrzów Paris SG – Arsenal, który zostanie rozegrany w sobotę, początek o godz. 18.00**

Tomasz Bzymek to polski trener od lat mieszkający we Francji. Jego najsłynniejszym wychowankiem był N'Golo Kante, mistrz świata z 2018 roku. Nasz rodak jest znawcą PSG. Jakie typuje rozstrzygnięcie w finale Champions League?



FOT. IPA SPORT/ABACA/ABACA/EAST NEWS

Vitinha, Ousmane Dembele i trener Luis Enrique zamierzają obronić zeszłoroczne trofeum Ligi Mistrzów

Paryżanie są zdecydowanym faworytem?

Tomasz Bzymek: Na pewno tak, choć ja daję im 60 procent, Arsenalowi 40, a w takich meczach wszystko może się zdarzyć. Ręka w polu karnym, czy jakaś decyzja sędziego mogą zmienić oblicze i przebieg finału, dlatego też we Francji wszyscy podchodzą ze spokojem do spotkania Paris SG z Arsenalem. Mówi się, że Paryż ma drużynę kompletną, a według mnie jest to na pewno zespół bliski kompletnemu, chyba najsłabszym punktem pozostaje Marquinhos mający najlepsze lata za sobą. Na każdej pozycji Luis Enrique może korzystać z fantastycznych piłkarzy. To świetny szkoleniowiec, do tego dopisuje mu szczęście, a po odejściu Messiego, Neymara i Mbappe stworzył prawdziwy kolektyw. Potrafił zapanować nawet nad Ousmane Dembele. Kiedyś odsunął go od składu, bo bodajże spóźnił się na trening i to zadziałało. Dembele nie jest łatwy do prowadzenia, według mnie 1 mecz na 10 zagra wybitnie, kilka dobrze, a Enrique ma wyczucie, wie kiedy na niego stawiać i umiejętnie nim gospodaruje. Trzon Paryża wygląda niesamowicie, a tacy piłkarze jak Vitinha czy Joao Neves, niby ludzie od czarnej roboty, są gwiazdami światowej piłki z najwyższej półki. Luis Enrique otacza się znakomitymi żołnierzami, a jego zasługą jest zbudowanie fantastycznej atmosfery w zespole, mentalnie to też top.

W czym upatrywać szans Arsenalu?

Arsenal tworzą znakomici piłkarze, lecz Paryż ma lepszych. W Lidze Mistrzów drużyna Luisa Enrique jest bardziej otrzaskana w trudnych bojach, z kolei Kanonierzy mają co chwilę trudne wyzwania w Premier League.

Arsenal może, Paris SG musi?

Nikt tak we Francji nie podchodzi. Paryżanie pamiętają jak w Lidze Mistrzów Barcelona odrobiła z nimi straty po porażce 1:4 w pierwszym spotkaniu, wspomina się mecze reprezentacji Francji z wielkich turniejów, gdzie uchodziła za faworyta. Francuzi twardo stąpają po ziemi, wierzą w swojego mistrza, ale biorą pod uwagę też niepowodzenie. Na każdy scenariusz po finale przygotowane są służby porządkowe. Na weekend w Paryżu w gotowości pozostaje 22 tysiące policji i służb porządkowych, by uniknąć niszczenia witryn sklepowych i palenia samochodów. Byłem na finale Pucharu Francji Lens – Nice i okazuje się, że można przeprowadzić takie widowisko w pięknej atmosferze, bez burd, dawać radość z piłki nożnej. Meczów PSG, tego co po nich się dzieje normalni ludzie się boją.

Jak przyjęto powołania Didiera Deschampsa do kadry Francji na mundial?

Na razie piłkarska Francja skupia się na finale Ligi Mistrzów, a jeśli chodzi o powołania to obyło się bez kontrowersji. Deschamps stawia na swoich sprawdzonych ludzi.

***

Po raz pierwszy lub drugi

Paris SG przed rokiem osiągnął swój upragniony cel i wygrał Ligę Mistrzów w finale demolując Inter Mediolan 5:0. Tamto spotkanie było demonstracją siły zespołu Luisa Enrique. Paris SG po raz 14 zdobył mistrzostwo kraju. Arsenal ma tyle samo tytułów mistrza Anglii, z ostatniego cieszył się przed kilkoma dniami, a przyszło mu czekać na to aż 22 lata. Kanonierzy są niespełnieni na arenie międzynarodowej, zagrają dopiero drugi raz w finale Ligi Mistrzów, poprzednio w 2006 ulegli Barcelonie.

Książęta Paryża mają w kolekcji wygrane w Lidze Mistrzów 2025 (przegrali też finał z Bayernem w 2020), Pucharze Interkontynentalnym 2025, Superpucharze Europy 2025). Finał Ligi Mistrzów 2025/26 w sobotę w Budapeszcie 30 maja, godzina 18, będzie go można obejrzeć na antenach Canal+ oraz w TVP 1, TVP Sport, tvpsport.pl, aplikacji mobilnej i smart TV. ©℗

XXVI edycja Pucharu Tymbark. Warszawa ponownie ugości finalistów

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Puchar Tymbark po roku wraca do Warszawy. Wielki Finał ogólnopolskiego turnieju piłkarskiego dla dzieci znów odbędzie się na PGE Narodowym i poprzedzi mecz Polska – Nigeria.**

Jest zresztą wielce prawdopodobne, że wśród uczestników kryją się przyszli reprezentanci kraju. Na razie wszyscy poczują ten sam dreszczyk emocji, który towarzyszy od lat na tym stadionie legendarnemu Robertowi Lewandowskiemu.

Było aż piętnaście tysięcy drużyn

Dobiega końca XXVI edycja Pucharu Tymbark. Zgłosiło się do niej przeszło 15 tys. zespołów z przedszkoli i szkół podstawowych z całej Polski w trzech kategoriach wiekowych, oddzielnych dla chłopców i dziewcząt: U-8, U-10 oraz U-12. Najpierw rywalizacja toczyła się w regionie, czyli na szczeblu gminnym i powiatowym. Potem nastąpił etap wojewódzki, a z niego do Finału Ogólnopolskiego awansowały najlepsze zespoły w kategorii U-10 i U-12 dziewcząt i chłopców.

Rozgrywki pokaże publiczny nadawca

Wreszcie w dniach od 1 do 3 czerwca nastąpi długo oczekiwany Finał Ogólnopolski. Do stolicy zjadą 64 najlepsze drużyny reprezentujące wszystkie województwa, aby dobrze się bawić, ale też zawalczyć o tytuł najlepszej w kraju. Wielki Finał XXVI edycji Pucharu Tymbark będzie transmitowany na antenie TVP Sport, na platformie tvpsport.pl oraz w aplikacji mobilnej TVP Sport.



FOT. SYLWIA DĄBROWA

W dniach 1-3 czerwca nastąpi długo oczekiwany Finał Ogólnopolski Pucharu Tymbark. Zagrają 64 drużyny

Pod patronatem prezydenta

W pierwszych dniach finału gra w fazie grupowej toczyć się będzie na boiskach przy ulicy Marymonckiej. Tam też, w Dzień Dziecka, zapowiedziano ceremonię otwarcia z udziałem zaproszonej gwiazdy, której nazwisko jest, póki co, utrzymywane w tajemnicy. W ostatni dzień rywalizacja zostanie przeniesiona do domu reprezentacji – na PGE Narodowy.

Właśnie w tym szczególnym miejscu poznamy zwycięzców poszczególnych kategorii. Patronat honorowy nad turniejem finałowym objął prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Karol Nawrocki.

Zaposzenia dla selekcjonera i kapitana

Zaproszenia otrzymali również selekcjoner Jan Urban i piłkarze reprezentacji Polski na czele z kapitanem Robertem Lewandowskim. Podczas Wielkiego Finału XXVI edycji zabraknie znanego sędziego, Szymona Marciniaka, który w poprzednich latach gwizdał mecze finałowe.

Marciniak: Wszyscy są już wygrani

Z tej edycji wykluczyły go obowiązki – razem z innymi arbitrami bierze bowiem udział w zgrupowaniu poprzedzającym udział w czerwcowych mistrzostwach świata. Przed startem rozgrywek XXVI edycji Pucharu Tymbark Szymon Marciniak nagrał specjalny film tłumaczący zasady gry w turnieju. – Grajmy fair i bawmy się piłką – apeluje Marciniak i zaznacza: Wszyscy uczestnicy są już wygrani.

Nagroda będzie szczególna

Na wszystkich czeka zresztą moc atrakcji. W środę (3 czerwca) kilka godzin po skończonym turnieju finaliści obejrzą mecz swoich idoli z reprezentacji Polski, którzy zmierzą się towarzysko z Nigerią. Kto wie, może za kilka lat tak jak starsi koledzy też wystąpią w koszulkach z orzełkiem na piersi?

Drogę od Pucharu Tymbark do kadry przebyli w końcu Ewa Pajor, Dominika Grabowska, Paulina Dudek, Weronika Zawistowska, Weronika Araśniewicz, Arkadiusz Milik, Krzysztof Piątek, Oskar Pietuszewski, Sebastian Szymański, Karol Świderski czy Piotr Zieliński. W sumie mowa o ponad 80 piłkarzach i piłkarkach!

To jest powrót do do stolicy

Ubiegłoroczny, jubileuszowy finał Pucharu Tymbark odbył się na Stadionie Śląskim w Chorzowie. Wśród dziewczynek triumfowały Prywatna OMS w Opocznie (U-10) i SP Przeźmierowo (U-12), zaś wśród chłopców SMS Wrocław (U-10) i SP 7 Częstochowa (U-12).

Sponsorem generalnym rozgrywek jest marka Tymbark. XXVI edycja Pucharu Tymbark jest współfinansowana przez Ministerstwo Sportu i Turystyki. Finał Ogólnopolski turnieju odbywa się pod patronatem honorowym prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Karola Nawrockiego. W skład Komitetu Honorowego XXVI edycji Pucharu Tymbark wchodzą minister sportu i turystyki, minister edukacji oraz minister zdrowia.
©℗

eprasa.pl eb1c8fbccf

Niecodzienne zgrupowanie kadry

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Reprezentacja Polski nie dostała się na mistrzostwa świata 2026. Podopieczni Jana Urbana po raz pierwszy od 2014 roku nie przygotowują się do turnieju rangi mistrzowskiej. Biało-Czerwoni zagrają jedynie towarzysko z Ukrainą i Nigerią.**

Zgrupowanie rozpoczęło się dość późno - dopiero wczoraj - we Wrocławiu, czyli trzy dni przed niedzielnym meczem towarzyskim z reprezentacją Ukrainy, która również nie poleci na turniej do USA, Kanady i Meksyku.

Selekcjoner we wtorkowe południe ogłosił kadrę na dwa mecze towarzyskie. Poza spot-kaniem z naszymi sąsiadami Biało-Czerwoni zagrają kilka dni później z kolejnym wielkim nieobecnym mundialu - Nigerią (3 czerwca). - Nie zmieniam swojego zdania. Jeśli na początku mojej pracy w reprezentacji mówiłem, że ten wachlarz zawodników nie jest zbyt duży, to niestety cały czas się to potwierdza - mówił nam Urban, odnosząc się do trudności przy kompletowaniu kadry.

Co się zmieni w reprezentacji? Przede wszystkim nastawienie piłkarzy, którzy po dwóch meczach udadzą się już na wakacje po wyczerpującym sezonie. W samej kadrze na majowo--czerwcowe zgrupowanie widzimy aż pięciu debiutantów, którzy zostaną sprawdzeni w dwóch najbliższych meczach. Mowa o Kacprze Potulskim (obrońcy FSV Mainz), Oskarze Wójciku (obrońcy Cracovii), Norbercie Wojtuszku (prawym obrońcy Jagiellonii), Karolu Czubaku (napastniku Motoru Lublin) oraz Mateuszu Żukowskim (napastniku Magdeburga).

- Po to powołujemy nowych graczy, żeby ich sprawdzić. Ja też nie oczekuję, że po tych spotkaniach na pewno dostanę konkretną odpowiedź, że dany zawodnik się nadaje. Na przykład nie ma kontuzjowanego Matty'ego Casha, więc musieliśmy w tym sektorze uzupełnić skład - w taki sposób swoje wybory uargumentował selekcjoner reprezentacji Polski.



FOT. SYLWIA DABROWA

Selekcjoner Jan Urban ma nad czym się zastanawiać po nieudanych barażach o amerykański mundial

Co z napastnikami? Na liście wciąż widzimy nazwisko Roberta Lewandowskiego, którego reprezentacyjna przyszłość stanęła pod znakiem zapytania po przegranych barażach. Ze względu na m.in. szacunek do zmarłego asystenta selekcjonera - Jacka Magiery - ma on zjawić się na zgrupowaniu i nie decyduje się jeszcze całkowicie zawiesić butów na kołku. Jak sam przyznawał, ma też niedokończoną misję z drużyną narodową i będzie chciał wprowadzić ją na najbliższy wielki turniej - mistrzostwa Europy w 2028 roku, które odbędą się w Wielkiej Brytanii.

Następcy „Lewego"

Ponadto po raz pierwszy do reprezentacji Polski zostali powołani szykowani do roli jego następców 26-letni Karol Czubak, czyli napastnik sezonu wybrany na Gali Ekstraklasy (18 trafień), oraz 24-letni Mateusz Żukowski, czyli wicekról strzelców 2. Bundesligi. Dlaczego akurat oni? - dopytaliśmy przy okazji selekcjonera.

- Bo nie ma zbyt wielu innych opcji, nie? Oczywiście są Adam Buksa i Krzysztof Piątek, ale wiem, co Buksa może mi dać. A Piątek już dawno temu skończył ligę i trudno, żeby sam trenował na wakacjach, czekając na reprezentację. Natomiast jest okazja sprawdzić tych chłopaków. Jeden strzela bramki w naszej ekstraklasie, drugi w drugiej Bundeslidze - przekonywał Jan Urban w rozmowie z szefem działu sportowego Polska Press Adamem Godlewskim.

Nie tylko przyszłość reprezentacyjna stanęła pod znakiem zapytania w kontekście Lewandowskiego. Kapitan reprezentacji przyjedzie na kadrę w momencie, gdy wygasa jego kontrakt z FC Barceloną i wkrótce ze swoim agentem stanie przed wyborem nowego pracodawcy. Mówi się już teraz m.in. o Arabii Saudyjskiej czy Stanach Zjednoczonych.

Lewandowski na pewno nie pozwoli sobie na to, żeby – niezależnie od tego, do jakiego klubu pójdzie – słabo grać w reprezentacji

- I na pewno nie pozwoli sobie na to, żeby - niezależnie od tego, do jakiego klubu pójdzie - słabo grać w reprezentacji. Nie może w ostatnim momencie swojej kariery zniweczyć wszystkiego, co pokazał przez długie, długie lata - dodał 62-letni szkoleniowiec, który tak samo jako piłkarz zdobywał bramki w hiszpańskiej ekstraklasie.

Kiedy najbliższe mecze?

Pierwszy ze sparingów, przeciwko Ukrainie, Polska zagra we Wrocławiu. Początek w niedzielę, 31 maja, o godz. 17.30. Drugi z meczów towarzyskich odbędzie się na PGE Narodowy w Warszawie - z Nigerią, 3 czerwca, o godz. 20.45.

©℗

Nadchodzi Wielki Finał Ogólnopolski Pucharu Tymbark. Warszawa czeka

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Wielki Finał Ogólnopolski XXVI edycji Pucharu Tymbark odbędzie się w dniach 1-3 czerwca w Warszawie z meczami o trofea na PSG Narodowym przed spotkaniem towarzyskim Polska - Nigeria.



FOT. PUCHAR TYMBARK/MAZOWIECKI ZPN

Na początku czerwca w Warszawie rozegrany zostanie rozegrany Wielki Finał XXVI edycji Pucharu Tymbark, zakończony meczmi o trofeum na PGE Narodwym

W finałach ogólnopolskich Pucharu Tymbark 2026 w Mazowsze reprezentować będą zwycięzcy finałów województwa, które odbyły się 18-20 maja w Miętnem koło Garwolina, wśród dziewcząt - Naprzód Skórzec (w kategorii U-10) i SP 289 Warszawa ze szkoły podstawowej nr 289 im. Henryka Sienkiewicza na warszawskim Żoliborzu, (U-12), a wśród chłopców - 300 SPartan ze szkoły podstawowej nr 300 im. Wandy Rutkiewicz na warszawskim Wilanowie (U-10 chłopców) oraz SMS LW Warszawa (U-12 chłopców).

Drużyna mistrzyń Mazowsza do lat 10 ze Skórca może się też pochwalić królową strzelczyń kategorii U-10 Niną Karpińską, która zdobyła w finałach wojewódzkich w Miętnem aż 40 bramek, a także najlepszą bramkarką U-10 Wiktorią Wysocką, która w całym turnieju zachowała czyste konto, nie puszczając żadnej bramki.

W finale U-10 dziewczęta Naprzodu Skórzec odnotowały imponujące zwycięstwo 8:0 nad SP Somianką.

W finale U-12 dziewczęta SP 289 Warszawa pokonały 5:1 Besties Gąsin Pruszków.

Mistrzynie U-12 - SP 289 Warszawa odebrały też nagrody królowej strzelczyń U-12, którą została Jagna Wiktorowska z 17 golami i najlepszej bramkarki - Wiktoria Chałupczak.

Dziewczęta z SP 289 okazały się bezkonkurencyjne wygrywając wszystkie 6 meczów w turnieju, strzelając 33 gole i tracąc zaledwie 5 bramek.

- Już sam awans jest dla nas ogromnym sukcesem, bo to nasz pierwszy start w Pucharze Tymbark. Dziewczynki wygrały najpierw etap warszawski, a później finał wojewódzki, mimo że po drugiej stronie były drużyny z dużo większym doświadczeniem w tym turnieju. Naszą największą siłą był spokój i brak presji - do każdego meczu podchodziliśmy po prostu po to, żeby grać swoją piłkę. I właśnie z takim podejściem jedziemy teraz na Finał Ogólnopolski - zapowiada Tomasz Świerczewski, trener drużyny dziewcząt do lat 12 SP 289.

W finale U-10 300 zespół SPartan pokonał 2:0 Mińskie Orły z Czwórki.

Królem strzelców w tej kategorii wiekowej został Tobiasz Tymiński z Mińskich Orłów z Czwórki, który zdobył 6 bramek.

Finał U-12 zakończył się zwycięstwem SMS LW Warszawa nad Piątką Grodzisk Mazowiecki 2:1.

Nagrodę króla strzelców dwunastolatków na Mazowszu odebrał Jakub Szeliga z Piątki Grodzisk Mazowiecki, który trafił do siatki aż 22 razy.

Finały Ogólnopolskie XXVI edycji Pucharu Tymbark fazy grupowej i pucharowej odbędą się w poniedziałek i wtorek 1-2 czerwca na Stadionie Hutnika Warszawa w dzielnicy Bielany przy ulicy Marymonckiej 42. A w środę 3 czerwca w godzinach 9.00-13.00 najlepsze drużyny w kategorii U-10 i U-12 dziewcząt oraz chłopców zagrają w Wielkim Finale na PGE Narodowym.

W czwartek, 28 maja, odbyło się losowanie grup finałów ogólnopolskich.

Naprzód Skórzec w U-10 dziewcząt trafił do grupy C z SP Jankowice Śląskie, USP SAP „Szóstka" Brzeg Opolski i SP Żary z Lubuskiego.

SP 289 Warszawa w U-12 dziewcząt znalazł się w grupie J z SP 14 Szczecin, Marianki SP1 Góra z Dolnego Śląska i ZPO Klimontów ze Świętokrzyskiego.

300 Spartan w U-10 chłopców zagra w grupie H z SP Bieruń ze Śląskiego, Dzikimi Kotami Gorzów Wielkopolski i SP 51 Poznań.

SMS LW Warszawa w U-12 chłopców zmierzy się w grupie P ze Szkołą Gortata Łódź, ZSP 2 Białystok i SP 7 Koszalin.

Sponsorem generalnym rozgrywek jest marka Tymbark. XXVI edycja Pucharu Tymbark jest współfinansowana przez Ministerstwo Sportu i Turystyki. W skład Komitetu Honorowego XXVI edycji Pucharu Tymbark wchodzą Minister Sportu i Turystyki, Minister Edukacji oraz Minister Zdrowia. Partnerem finału w województwie mazowieckim była Kompania Dystrybucyjna.

©℗

PUCHAR TYMBARK PZPN

eprasa.pl eb1c8fbccf

część Hadesu / żądanie strajkujących
dopływ Dunaju / narzędzie rolnicze
wśród zakonnic
gilza papierosa
część balustrady / karnacja
zimowy pojazd
płaci czynsz
wąskotorowa
spec od całek
chroniony ptak leśny
ciastko z kremem
dodatkowa procja zupy
stopień pisma / haftowany kilim

twórca obrazu „Guernica"
arabskie imię męskie
preparat kosmetyczny

zwój tkaniny
pocisk armatni
mocarz, siłacz

film grozy / ciężka zasłona
muza astronomii
kanon moralny / słodki napój
kolega dramaturga

rzeka na Roztoczu
miasto nad Grabią
żywotniki / rzymska Artemida
powóz na resorach

gwiazda rocka / ... Lozano, trener / wynik dodawania
... Farrow / „Gdzie jest ..."
przepływa przez Kolonię
powieść Tyrmanda

kurort na Helu / dawne względy / gipsowa masa na ozdoby
okres stu lat
model Toyoty
małżonek Sawy
prezydencki sprzeciw
Santor lub Kwiatkowska
cząstka utworu muzycznego / sportowe buty

nastrój, atmosfera
ruiny miasta Nabatejczyków
widzialny przejaw boga Re
kwota do zwrotu
brzeczka miodowa

masa ludzi / rybi tłuszcz
używa języka migowego
goguś, fircyk

muza poezji miłosnej / zięć Mahometa
andyjski ssak
założogowa część jachtu
duża skrzynia
japońskie zapasy

rozległy ze szczytu
do wynajęcia
zrządzenie losu

w ekwipunku alpinisty
przypomina elipsę / Kupidyn

miasto na Nizinie Padańskiej
zacięcie, żyłka
dawna opłata drogowa
niewygodne łóżko

domowy fortepian
„...Twardowska"
żona Uranosa
wenecki VIP

aura / taktyka walki konnicy
egzotyczna przyprawa
ssak z bródką
Bohdan, pisarz i lotnik
gaz palny

otwór Wezuwiusza

rodzaj kroniki kryminalnej
droga dla turysty
budowla na przystanku
najdłuższa rzeka Francji

powieść Andrzeja Kaneckiego
koniec bomu
środek usypiający
szlachetny koń

kraj z Ottawą / wiatr równikowy
biuro fabryki
marihuana lub kokaina
rzymska bogini obfitości
Jan, malarz / entuzjastka, miłośniczka
urząd kościelny
kwiat ozdobny / imię Gorczycy, aktorki
trwałe łączenie metali
dipol na dachu
partyjny teoretyk
dawny bęben wojskowy

atrybut kelnera
płaszczyzna ukośna

wieczne miasto / artretyzm
sol lub si
warta, czujka

nasiadówka u szefa
dzwonek w talii kart
pojazd uprzywilejowany
proszek do prania
wysoki mężczyzna

rzadkie imię męskie
kryjówka borsuka
indyjska księżniczka
grzanka z opiekacza
Franco, włoski aktor
wielkie ssaki morskie
lew górski
ostry brzeg

bicz furmana
opasuje kimono / Szalom, pisarz
król z dramatu Szekspira / ryba mulistych akwenów
bagienna mgła

pieśń patriotyczna
polski pies gończy
hinduska bogini śmierci
staropolskie imię kobiece

cząstka żaru
kraj z Dekanem
roślina jak sułtanat

rasa owiec / śliwodaktyl
część twierdzenia
10 kwintali
modnie się ubiera

AUTOPROMOCJA 0210987243

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA
w prenumeracie
z Tele Magazynem
12 312 53 88


1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32	33

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 33 utworzą rozwiązanie: myśl Józefa Bułatowicza.

SŁOWNIK: ARCT, AURION, KARAKOL, MANAGUA, NIELUBA, OPS,

ROZWIĄZANIE: NIE KAŻDY PŁYWAK JEST W CZEPKU URODZONY.

eprasa.pl eb1c8fbccf